CENA 20 ZŁ

W numerze: Józefa Mitkowskiego „W roku Wiosny Ludów"

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 8 (117) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 22 LUTEGO 1948 ROKU ROK IV

BIBLIOTEKA NAUKOWE INSTYTUTY POMOCE NAUKOWE WYŻSZA

JAROSŁAW ROGALA

Serce oporu

Koszalin — po powrocie Urzędu Wojewódzkiego do Szczecina — zmalał. Przeszły krótkie jego dni świetności. Starosta — gnieźnianin, który przetrzymał i Województwo i Dowództwo Okręgu Wojskowego, zebrał teraz wszystkie powiatowe urzędy, a nawet miejscową gminę, w pięknym gmachu poregencyjnym, który zadziwia swoim wybrednym francuskim renesansem, a zwłaszcza wieżyczką, cudną, jak filigranowa broszka. Dzięki tej drobnej ozdobie dachu ogromny budynek wydaje się.. prawie, powiedziałbym: puszkiem wdzięku. Tu o wiele bardziej było do twarzy Województwu.

Cóż kiedy pociągnął port, szczeciński port! Nie mógł wygrać Koszalin nawet mimo faktu, że całe to miasto ułożone jest po brzegach przydługiej ulicy Zwycięstwa.

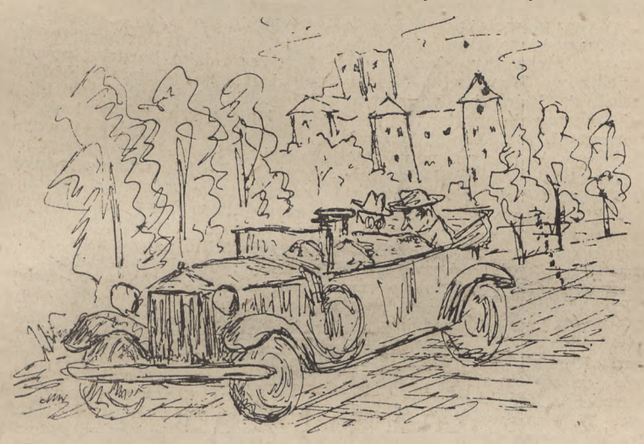

Na tej to ulicy — poprzez parę dachów — naprzeciw wieżyczki-broszki jest świeżo wsławiony zakład fryzjerski. Zakład jak zakład, ale oto tworzą się tu nowe wartości.

Pamiętam, jak fryzjer-pionier, inwalida wrześniowy z 6 p. uł., dobił się tu pierwszej sławy i dochodził golić wojewodę. W ślizgawicę przysyłano poń auto, bo na protezie czasem bywało ciężko...

Pamiętam, jak tenże mistrz — już z patentem na ścianie — opowiadał mi, że w samych początkach przyszedł do niego chwacki lejtnant sowiecki i... kazał „zdziałać kudri".... Gnieźnianin nie zrozumiał... kudri? kudri? co to może być?

Rosjanin, widząc niezdecydowanie, pokazał na piękną, naturalnie falistą czuprynę fryzjera.

— Aaa, kudły! — zrozumiał olśniony — kędziory, ondulacja!

Odtąd koledzy lejtnanta przychodzili przed zabawami, które urządził miejscowy komendant wojenny, aby „zdziałać sobie kudły". Zadzierżyste były, jak odwieczny, sławny kozacki czub.

Lecz nie w tym sprawa, chodzi o to, że tenże fryzjer z ul. Zwycięstwa w lecie na ogólnopolskim konkursie w Sopocie zdobył tytuł mistrza Polski. Przegrał nawet stołeczny Ewaryst, słowem wszyscy. Fryzura koszaliniaka była skomplikowana potrójnie, prawdziwie w natchnieniu. Bogata nagroda stoi w oknie zakładu „Roccocco", a mistrzowi aż warszawiacy proponują spółkę choćby w środku Marszałkowskiej.

— A ja — mówi — chyba tylko do Szczecina. Za Wojewodą, proszę pana — i pochyla się nad klientem z świetną brzytwą w ręku.

Motocyklem pojutrze wybiera się na zwiady w tej sprawie. Choć bez nogi, ale co jemu motocykl po koniach, których dosiadał.

— Na motocykl to jednej nogi nawet za wiele — powiada lekceważąco — i goli gładziutko. — Na niemowlę, proszę pana?

Wyjeżdżam z miasta ul. Gdańską, na Sianów. Na kolanach rozłożona mapa. Od Szczecina — tułowia koronowanego Gryfa — droga kreśli, jakby dwa wielkie skrzydła, rozpostarte do lotu. Jednym linia ku Nakłu nad Pianą oraz Gryfii na Strzałów, gdzie niegdyś służebnie strugano strzały, jak dziś wyrabia się pociski w fabryce amunicji, gdzie przewóz był przez pasmo morza ku Rugii, na której szczycie Arkona... Drugim skrzydłem droga na Sławno-Słupsk do gdańskiego Wisłyujścia.

Po brzegu szosy wymarzłe żarnowce, których nie dobudziło się lato. Są buro-szare, martwe. Płaczą po nich zające i kuropatwy. Zapewne nikomu dziś nie zależy, aby wznowić tę mocną zieleń, żółto kwitnącą o wiośnie.

Mkniemy dobrym asfaltem. W miasteczku miga kawiarnia. Przysiągłbym, że była to kiedyś stara, narożna karczma. Duże litery: APTEKA. Ulica rozszerza się w, jakby podłużny, rynek. Po czołgu, który stał, wskazując ku wschodowi, zostało tylko przyczernione miejsce na bruku jezdni.

Już za Sianowem ogląda się na nas dziewczyna z kopaczką w ręku. Obok idzie młodszy brat. Są bardzo podobni.

Oczyma wracam do mapy. Droga, stara, nieprosta, droga biegnie od pradawności od Szczecina na Goliszewo — Nowogard — Płoty — Korlino. W tej chwili jest najbliżej morza, ale ani teraz, ani potem morza nie dotyka. Tylko w lewo wskazują drogowskazy ku nadbrzeżnym miejscowościom.

Skąd to zjawisko? Czy nieprzychylny, zimny Bałtyk odstraszał? Czy nagle napady Danów lub Skandynawów dyktowały budowę grodów w oddaleniu, aby pierwsze wieści mogły wyprzedzić najeźdźców i załogi grodów wstrząsnąć, najeźyć bronią za częstokoła? Nie. Chyba nie. Po prostu, dawno temu, kiedy ludzie szczególnie byli zależni od warunków, brzegi pomorskiego kraju nie były dość dogodne portowo. Stąd na tej linii niezwykłym zjawiskiem jest miasto koło brzegu: stary Kołobrzeg.

Sławno, jeżeli kto chce, można objechać; tak są ułożone drogi. Nie miało powiatowe miasteczko zawracać głowy podróżnym, śpieszącym do wielkiego Gdańska albo nocnym marszom zmotoryzowanych wojsk. Można by więc minąć jesieniejące jarzębiny przy chodniku i zawracać koło pęczków drogowskazów, kierujących na Darłowo, Miastko, Bytów, Polanów, można by tylko musnąć okiem obie wieże obronne pozostałe z murów i masyw wieży kościoła, na której bielą się dzisiaj świeże linie desek odnowy dachu. Można by..., ale żal opuścić. W mieście tym jest duch pomorskich wieków.

Od czasu podziałów między tutejszymi książętami, Siwatopełkowiczami, którzy, jak dotąd nasz lud wiejski, ćwiartowali dziedziczne włości, ziemia sławieńska nosiła swoich Warcisławów i Bogusławów. Książęta ci, oprócz wzajemnych spraw dynastycznych i przeplatanek dziedziczenia na Szczecinie, Wołogoszczy, wyspie Rugii, mieli pod bokiem ciężką zadziorę krzyżacką. Warowano się przeciw nim, jak zachód Pomorza przeciw Marchiom. Samo Sławno nawet nie miało nigdy charakteru stołecznego. Władcy tu raczej nie zapuszczali korzeni. Miasto było ześrodkowane na sprawach istotnie miejskich. Płótno sprzedawano tu dobre 400 lat temu, a gdy wojna trzydziestoletnia przeorała miasto, 40 pozostałych mieszczan nie przywróciło mu dobrobytu. Nigdy nie wzrosłe potem, dziś, po nowym huraganie, także ma trud niepowszedni w swych powojennych gruzach. Mariacki kościół, który założyła Zofia ze Sławna, żona Barnima IV, a siostrzenica Barnima Wielkiego, odnawia się dzisiaj. Fundatorka, zmarłszy na dżumę (1364 r.), nie jest tu pochowana, lecz aż w Szczecinku, małym młodszym Szczecinie wschodu Pomorza.

Na Sławnie jaśnieje jednak inna jeszcze sprawa, głębsza może, bo ludowa. Domyślać się należy, iż tu mogła być stolica Słowińców, których zapomniane resztki „odkrywano" uczonym zapałem aż w końcu XIX w. Oni siebie od sławieńskiej prastolicy, albo od siebie swój przeważny gród, zapewne, tak nazwali. Jakieś sławne wysoko wyrazowe piękno jest w tej nazwie.

Głównym jednak celem postoju w mieście, mimo obejrzenia wszystkiego, co ma starą cegłę, jest wypad na północny zachód; wymykamy się ku morzu.

Wkrótce wpadamy do portowego Darłowa. Od razu do Zamku. To istne cacko! Jeżeli gdzie przyjemnie było czuć się Piastowiczem, to tu chyba. Zameczek niewielki siadł okrakiem na drodze, którą zawłada jedną bramą, a przez drugą wyzwala. Na tymże miejscu po pradawnych częstokołach i morenowych głazach kładziono kiedyś mury ceglane (okropnie na parterze „zrekonstruowali" je Niemcy, choć ocenić należy, że zabytek pieczołowicie zabezpieczono) — teraz okrywa zameczek tynk renesansu. Z kolorytu, z wieży, z uroku jest mniejszym bratem szczecińskiego, bratem słupskiego, najbardziej bliskim sercu wnukiem Królewskiego Wawelu, na którym chował się Bogusław X. Zameczek darłowski urzeka wdziękiem. Proszę: z narożnika podwórca wyłania się jak gdyby Kurza Stopka... Przytulna siedziba zastanawia. Na pamięć przychodzi przede wszystkim Eryk I, Piast, podtrójny król zjednoczonych: Danii, Szwecji i Norwegii, syn Warcisława VII, mąż Filipy, córki Henryka IV, króla Anglii.

Królowa Małgorzata Duńska, jako prawnuka po kądzieli Waldemara Duńskiego, wyniosła go (w 1412 r.) na tron zjednoczonych królestw. Zamysł pewno był dawny, bo imię dziecku nadano podług krwi rodu matki.

Małe książątko słupskie weszło w zakres wielkich poczynań, ale nieustannie szły propozycje ku Jagiellonom, zmierzające do złączenia Pomorza z Rzeczpospolitą. Niepoparty z Polski, chcący osadzić na północnym tronie krewniaka swego Bogusława IX, naraził się Eryk poddanym i po 37 latach rządów (wygnany walczył jeszcze ze swymi dawnymi poddanymi, z Gotlandii nękając ich korsarstwem). Wreszcie, nie mogąc odzyskać trzech koron, wrócił do uroczego zamku w Darłowie, skąd roztropnie rządził swym małym księstewkiem jeszcze 10 lat (umar) w r. 1459.

Basen bałtycki żył także czas jakiś epopeą księcia słupskiego, który z trzech królestw strącony, Darłów sobie upodobał.

Prądy wkoło Bałtyku są zmienne. Przez to morze, niemal słowiańskie, przepływały wzajemne wpływy polityki i wojen od pradawna po Wazów aż prawie po Kongres, gdzie tyle było tańca (r. 1815).

Wewnątrz zamku zwiedzamy muzeum. Jakieś africana, potem wykopaliska, ornitologia, wśród ludowości zwraca uwagę genealogia chłopskiej rodziny, namalowana jak najdumniejsze drzewo koronowanego rodu.

Oglądamy staroświeckie meble — miejscowe obrazy malował tu ex-Wend: Kuske — Kózka — na schodkach kręconych w okienku błękitnieje nam morze, wreszcie przez przemiły, kryty ganeczek przechodzimy do sal wielkich. Są ułożone po jednej na piętrze, a najpiękniejsza jest ta, gdzie wisi portret Ostatniego Piasta. Bogusław XIV wyobrażony jest godnie i brodato. Nie znać, że schorowany był ostatnie lata życia, otoczony koszmarem wyniszczającej wojny. Właśnie na jego Pomorzu wynalazczy Wallenstein zastosował bezwzględny system żywienia wojsk zajętym krajem. Bogusław z portretu jest jednak przede wszystkim poważny, a wspaniałość stroju przywodzi na pamięć jego najpiękniejszą chyba chwilę w życiu, gdy w tejże sali wyprawiał wesele.

W sali tej były więc nadzieje ciągłości dynastii, na której wygaśnięcie czyhali brandenburczycy.

Bezpotomnie jednak zmarł stryj Bogusława, Barnim XII, ostatni książę bytowski, a potem sam Ostatni Piast, książę szczeciński, pomorski i (mimo że luterański przecie!)... „biskup kamieński"...

...„nie chciał jednak Brandenburgii u siebie ten ostatni weselnik książęcy darłowskiego zamku. Hołd Polsce złożył; a gdy Szwedów miał na karku, testamentem osobistym im rozpaczliwie zapisał swe księstwo rodowe. Odroczył się zabór pruski o lat ponad 80, do 1720 roku, ale potem nastał, aby go dopiero otrząsnął gwałtownie nasz powrót.

Ze Sławna do Słupska jest niedaleko i dlatego droga jest prawie jak strzała. Po prostu nie wstępowano z niej nigdzie. Teraz jest ona ostatnim odcinkiem złej nawierzchni, którego jeszcze nie zaczęto reparować na tej arterii. Jedzie się trochę wolniej.

W obie strony szeroko rozścielają się pola.

Mijamy wioskę Cietrzewiec, którą jednakże z fantazji tak pierwsi osadnicy przezwali, zastanawiając się nad niemiecką Zizewitz. Już Komisja Onomastyczna odszukała prawdziwą nazwę: Sycewice. Niemcy za dawnych czasów jedynie dostosowywali do swego gardła trudne, chropowate słowiańskie nazwania.

Ostatni Słowińcy tych stron byli w trójkącie od Czeczetowa do Rowów wzdłuż morza i ku Stojęcinowi.

W Klukach jest dotąd 74-letni wieśniak, nazwiskiem Kirk, który wszystkie przedmioty nazwać umie po słowiańsku, lecz z trudem kleci zdania.

Zna coś 600 słów. Inni wymawiają po kilka, kilkanaście czy nawet kilkaset. Charakteryzują je tzw. dyftongi i brak miękkich spółgłosek zębowych. Zaciera się ta gwara pograniczna lechickiego wschodu i zachodu. Może niezadługo zapisanoby, że, jak na Rugii w 1450 r., w blisko 500 lat potem, zmarł o jakie 200 km na wschód od tej wyspy człowiek, co, jak owa rugijska staruszka Gulcina, „umiał mówić rodzimą mową słowiańską".

Ta gwara zamrze z Kirkiem, ale wróciła tu inna odmianka lechickich narzeczy. Teraz mówią nią tu wszyscy, jak tylko sięga słuch.

Słupsk ma ludzi, którzy wiedzą, co wiedzieć można, o pobliskim szczu luterańskim Mostniku-Pontanusie-Brückmanie, którego portret przechowuje się u aptekarza w Smołdzinie. Był tam uprzednio w kościele. Są też u dr. Pomyszkiewicza książki, omawiające ten temat, a nade wszystko teksty słowińskie, zebrane przez dr. Fryderyka Lorentza (wyd. Petersburskie 1905 r.), odfotografowane dokładnie fonetycznym alfabetem, jak przystało na język ginących Mohikanów.

Składamy te miłe pamiątki z tą przyjemnością, że nie wkroczyliśmy tu w żaden zabór, tylko odebraliśmy to, co nam było bardziej należne niż Niemcom. Polska, je-

(Dokończenie na str. 2)

ILUSTR. MARIAN WYROŻEMSKI

STANISŁAW ROSPOND

Nad rzeką Łyną

Mógłbym zacząć ten felieton o moim pobycie w Olsztynie na zaproszenie „Instytutu Mazurskiego" słowami drużby mazurskiego:

Zaprasam Was na wołu kormiónego

. . . . . .

na psiejaka tłustego, na gęsiora psieconego

. . . . . .

na psięćset kołaców i na chleb niałki...

Dalszy cytat z wesela mazurskiego jest zbyteczny, gdyż niejeden czytelnik nie obeznany z tajnikami gwary mazurskiej posądziłby „Odrę" o fatalną korektę. A mnie posądzonoby, że wiedziony łakomstwem przyjechałem tu gwoli „psiejaka" (nb. piejaka), a nie dla „wyższych" celów zapoznania się z współczesnym życiem stolicy historycznej Warmii, odbijającej niby w soczewce wklęsło-wypukłej problem, po raz x-ty omawiany w prasie, mianowice: autochtoni - repatrianci na Ziemiach Odzyskanych.

Wprawdzie był i „psiejak" (tylko nie ze szczupłych funduszów „Instytutu Mazurskiego") a obok niego wileński „parsiuczek", rzęsiście zakrapiany, ale nie o tym będzie mowa. Tematowi autochtonów Mazurów i osiadłych tu „napływowców", głównie wilnian, „Odra" poświęciła bodaj najwięcej miejsca ze wszystkich czasopism. Nie na darmo nagłówek wiąże: Katowice — Wrocław — Szczecin — Olsztyn! Ponieważ jednak „cum duo faciunt idem, non est idem", dlatego może warto pod innym kątem widzenia przyjrzeć się ziemi mazurskiej, czyli b. Prusom Wschodnim, oficjalnie zwanym Pomorzem Mazowieckim.

Ziemią tą zainteresowałem się w 1936 r., kiedy to przyciągała moje oczy ta dzielnica w czasach panowania wasala i siostrzeńca Zygmunta Starego, księcia Albrechta, zapalonego mecenasa polskiej literatury reformacyjnej. Ciekawa to epoka pod każdym względem! Nie jest żadnym frazesem powiedzenie, że w latach 1544—1552 Królewiec stał się drugim obok Krakowa centrum piśmienniczej i językowej kultury polskiej. Pierwsze katechizmy, pierwsze kancjonały, pierwsze pełne drukowane tłumaczenie Nowego Testamentu, pierwsza postylla tu ujrzały światło dzienne, rozchodząc się nie tylko wśród ludności autochtonicznej mazurskiej, ale i w Polsce. Nie tylko w kręgu krakowskich drukarzy, w zacisznych salach „Alma Mater" dyskutowano przy lekturze Cicerona czy Erazma z Rotterdamu nad czystością języka polskiego, nad „czartowskim zgnieceniem języka polskiego" przez łacinę. Dyskutowali o tym, nierównie namiętniej w tej dzielnicy trzej pisarze: Jan Sandecki-Malecki, Jan Seklucjan i Stanisław Murzynowski. Pierwszy w jednym ze swoich druków z 1522 r. daje sentencję jako dewizę księżny Elżbiety, księżniczki legnickiej, opiekunki języka polskiego, która „bacząc dla pospolitego dobrego i dla rozmnożenia pisma polskiego, w którym się osobliwie kochała, nakładu nie żałując, ten

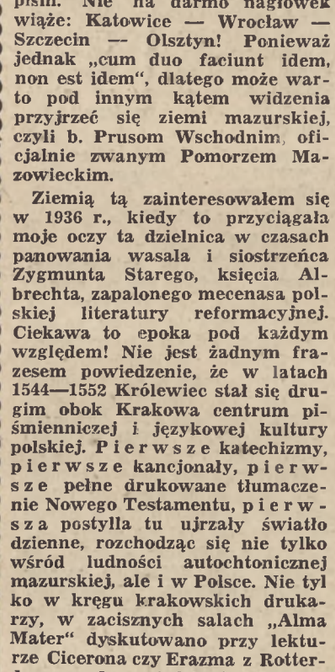

Katechizm z 1545 r. wydany przez J. Seklucjana z poprawkami rękopiśmiennymi J. Maleckiego.

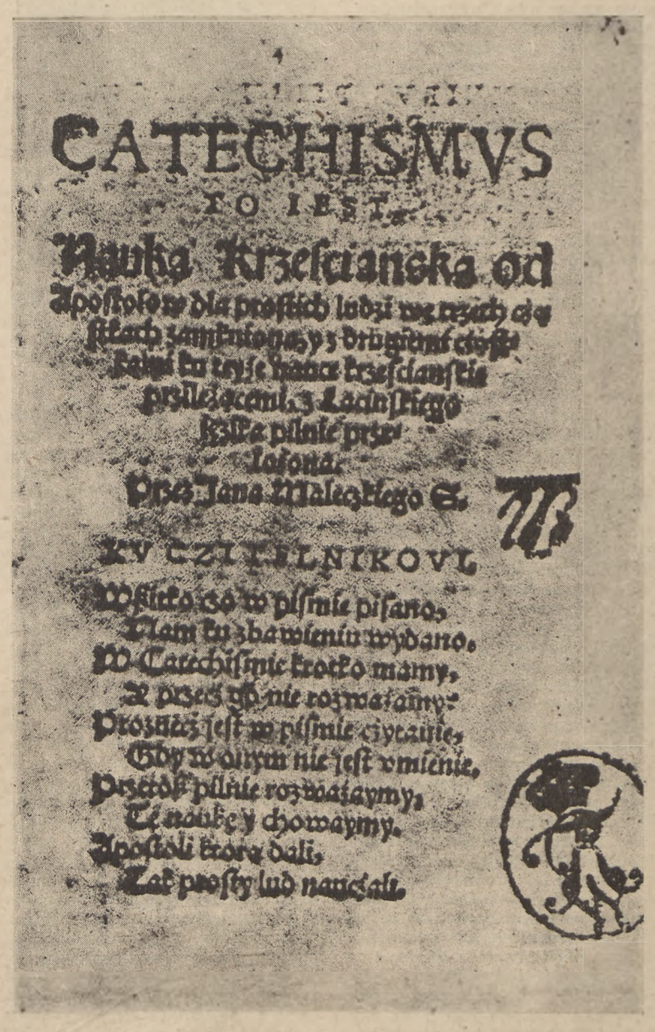

Katechizm z 1546 r. wydany przez J. Sandeckiego-Maleckiego.

żywot Pana Jezusów wypisać dała". Drugi z dumą powiedział w dedykacji do „Nowego Testamentu" z 1551 r., poświęconej Zygmuntowi Augustowi: „...gdyby W. K. M. ku koronie polskiej wiele królestw przydał, jeszczeby W. K. M. tak wielkiego pożytku poddanym swym nie udziałał jako jest słowa Pańskiego językiem polskim drukowanie". A trzeci, utalentowany literat, wszechstronnie humanistycznie wykształcony, w romansie „Historia żałosna a straszliwa o Spierze" wyjaśniał, dlaczego on, choć nie „słowik" ale prosty „szczygieł" ośmiela się śpiewać w języku ojczystym.

Z takim bagażem wiedzy historyczno-kulturalnej przyjechałem do Olsztyna, aby powiedzieć o tym, że nie tylko Kraków, że nie tylko Rej, Górnicki, Orzechowski, Kochanowski umiłowali sobie język ojczysty, ale i na ziemi mazurskiej zrodziła się w XVI wieku troska o doskonalenie, „polerowanie" różnych „nieforemności" średniowiecznych mowy polskiej. Ziemia mazurska wniosła w ten sposób do skarbca kultury polskiej niejeden bezcenny klejnot.

Ciekaw byłem, czy, jak i kto chłonąć będzie fakty o silnej więzi historyczno - kulturalnej tej dzielnicy z macierzą? Jak w rozmowach prywatnych ten problem: Polska — Ziemia Mazurska, repatrianci — autochtoni odbije się? Czy w tym zwierciedle historycznym i współczesnym obraz wyjdzie zamazany czy czysty? Te i tym podobne pytania zaprzątały moją uwagę, gdym przez 6 godzin czekał w Poznaniu na pociąg do Olsztyna; gdym z przyzwyczajenia zatwardziałego poprawnościowca - toponomasty sprawdzał nazwy mijanych stacyj kolejowych: Unieszewo zamiast Szomfalt itp.; gdym zetknął się z zasłużonym autochtonem dr. E. Szymańskim, posłem na Sejm i prezesem „Instytutu Mazurskiego", całym sercem oddanym pracy dla dobra ludności mazurskiej i warmińskiej, oraz z innymi działaczami mazurskimi.

Obraz wypadł czysto! Miałem niemałą dlatego satysfakcję, gdyż śledząc z prasy wypowiedzi na temat lapidarnie ujętego problemu: „Czy warto sobie Mazurami zaprzątać głowę?" byłem całą duszą i sercem po stronie „tuziemców". Może było to spojrzenie badacza XVI wieku, który zaobserwował silną więź kulturalną tej ziemi z macierzą. Może to było spojrzenie językoznawcy, który patrzył oczami znakomitego polskiego dialektologa, wędrującego ongiś po tych obszarach i zbierającego mowę ludu, tj. prof. K. Nitscha. Może to był wpływ bogatej, fachowej literatury znakomitego znawcy b. Prus Wschodnich, prof. S. Srokowskiego? Dość, że zawsze rozczytując się w współczesnej problematyce: autochtoni - repatrianci i wyczytując wiadomość o „szwabach" mazurskich w ujęciu niektórych repatriantów, odczuwałem całą niesprawiedliwość tej obelgi wobec tych, którzy w mowie przodków swoich śpiewali:

O Warnijo, o Warnijo
Ty ziamnio świento moja...

Jeszcze Polska nie zginęła
Białoczerwoną kokarda
Miejmy ufność w Bogu
Nam została tylko wzgarda.

Bo Róg dobry, sprawiedliwy
Nie dopuści tego,
Żeby Polak nieszczęśliwy
Nie miał kraju swego.

Niechaj Polak ziemię kopie
Będzie miał na niej konopie
Niechaj kopie, niechaj stara
Tobie, Niemcze, od niej wara!

Ale przecież od czasu do czasu telepało się po głowie natrętne pytanie: a może oni dzisiaj inni?

Szczęśliwy dlatego byłem, że dzięki dyr. E. Sukertowej-Biedrawinie, budzicielki jeszcze sprzed wojny duszy mazurskiej, a dzisiaj niezmordowanej pracowniczki na polu spojenia tej odzyskanej ziemi z macierzą, zetknąłem się bezpośrednio z niektórymi działaczami mazurskimi i przez to ani cień wątpliwości nie pozostał co do ich polskości.

Zresztą spójrzmy na ich sylwetki! Dr Szymański, poseł na Sejm, autor pracy „Mazurzy giną" przesiedział kilka lat w obozie w Mauthausen, obecny prezes „Instytutu Mazurskiego". Paweł Sowa, naczelnik wydziału ogólnego w Kuratorium Szkolnym. Dalej skrzętny zbieracz nomenklatury geograficznej tych stron, Gustaw Leyding-Mielecki. Poetka i działaczka warmińska Maria Zientarówna, której bezpretensjonalne, proste strofy pełne są żaru patriotycznego:

Nie przyszłaś do nas z uśmiechem na twarzy
Ni w aureoli majestetu sławy,
Lecz szłaś po gruzach zwalonych ołtarzy,
W łunach i dymie płonącej Warszawy.

Patrz! Lud, co wyczekiwał Cię długie stulecia
Serce pod stopy Twe składa w pokorze
Żyj nam i panuj w Twoich wiernych dzieciach
Oparta tarczą o Bałtyckie morze!

Szkoda, że nie mogłem z braku czasu poznać dyr. Uniwersytetu Ludowego mazurskiego K. Małłka, W. Pieniężnej, wdowy po redaktorze „Gazety Olsztyńskiej" i innych. Inni związani są z tym terenem i z „Instytutem Mazurskim", np. wicewojewoda olsztyński, B. Wilamowski-Korolewicz i kustosz Muzeum Mazurskiego H. Skurpski mają wielkie zrozumienie dla sprawy mazurskiej.

Ci ludzie postawili sobie dwa cele na widoku, realizowane przez „Instytut Mazurski": 1. odkrywanie prawdziwego, polskiego, historycznego oblicza tej ziemi przez popularne broszury, komunikaty a nawet zamierzone prace naukowe w dziedzinie prehistorycznej, historycznej, etnograficznej i językowej; 2. uświadamiać ludność tubylczą, że pod tynkiem grubszej lub cieńszej naleciałości niemieckiej ukrywa się rdzenna ich polskość. To samo uświadomienie ważne jest dla ludności napływowej, aby się zorientowała na jakiej ziemi osiadła i z jaką ludnością ma do czynienia.

(Dokończenie na str. 2)

Co robią Niemcy

Przechadzki teatralne po Berlinie, kłopoty z Sartrem i fraszka.

Sprawy teatru należą do najżywiej dyskutowanych w Niemczech spraw sztuki. Recenzje i omówienia przedstawień w pismach niemieckich to lektura frapująca, prawdziwy i wielostronny pokaz sztuki pisarskiej, wiedzy historyczno-teatralnej, umiejętności wydobywania rzeczy nie przemijających. Spory na temat pokazywanych sztuk, toczone w czasie antraktów, szerokim odzywają się echem na łamach pism codziennych. W ogóle podziwiać należy cierpliwość redaktorów wobec swoich sprawozdawców teatralnych, zabierających lepsze miejsca w dzienniku, podziwiać należy cierpliwość czytelnika. Interesujący ze wszech miar repertuar teatrów niemieckich stwarza możliwości do przedyskutowania wszystkich aktualnych kierunków dramatycznych, do zapoznania się z mistrzami Wschodu i Zachodu.

W planach teatrów niemieckich, wciąż powtarzają się takie nazwiska niemieckie jak Friedrich Wolf, Günther Weisenborn, Axel von Ambesser, Heinrich Spoerl, Fred Denger i Herman Moster. — Z drugiej strony stoją Amerykanie — O'Neill, Osborne, Odets, Ardrey, Saroyan; Anglicy — Priestley, Eliot, Bridie; Francuzi — Anouilh, Salacroux, Giraudoux, de Sartre, Cocteau — i wreszcie Rosjanie: Czechow, Rachmanow, Afinogenow, Kornejczuk i Simonow. W sezonie 1945/46 w Berlinie, najciekawszym mieście teatralnym Niemiec, zagrano 17 autorów niemieckich, 4 rosyjskich, 4 amerykańskich, 4 francuskich, 3 angielskich 2 węgierskich i po jednym irlandzkim, włoskim i austriackim. Podobny obraz i stosunek sił widziało się w sezonie minionym. Przewaga autorów obcych jest widoczna. Na prowincji obraz ten zmienia się o tyle tylko, że teatr mniejszego miasta grać musi w Niemczech zawsze 3 rodzaje: operę, operetkę i dramat. Wzajemny ilościowo stosunek autorów zagranicznych do niemieckich nasunął niemieckim teoretykom teatru i krytykom sporo uwag o niebezpieczeństwach cudzoziemszczyzny. Znowu w artykułach teoretycznych pobrzękiwać zaczęły tony dobrze nam znane z okresu hitlerowskiego kiedy wszystko co najlepsze było niemieckie, a cudzoziemszczyzną gardzono. Dziś boją jej się tylko, choć zdają sobie dokładnie sprawę z pożytku, jaki przynosi ów repertuarowy ferment, krzyżowanie się autorów i wpływów, przeżywanie zagranicy ukazującej oczom wielu Niemców egzotyczne niemal owoce myślenia, zrodzone w latach niemieckiej „samowystarczalności" kulturalnej.

Oktavia: Twoje siwe włosy dają ci prawo mówienia głupstw... (Heli Finkenzeller, Tiedtke, Dohm w „Dzieciach bogów" w berlińskim Lustspielhaus des Westens).

Uczą się Niemcy — podziwiają i uczą się uparcie. Teatr wschodnio-europejskiego kręgu kulturalnego, ściśle mówiąc teatr rosyjski, który od czasu Gorkiego przybrał nowe zupełnie oblicze, uczy ich nowego stosunku człowieka do społeczności. Tu teatr jest zakładem wychowawczym, dramat zaś lekcją. Postacie są przykładami do naśladowania. Innych rzeczy dowiadują się z Zachodu. Należy wyróżnić trzy kręgi kulturalne teatralnego Zachodu. Teatr francuski z dumą spogląda na swoją wielowiekową tradycję. Karmi się on po dziś dzień niezrównaną ostrością ducha, dowcipem, ironią. Choć jednak Niemcy oczarowani są nowoczesnym wykładem klasycznego materiału scenicznego, z trudnością godzą się z końcowymi wnioskami tego wykładu. Na miejsce określonego w dramacie wschodnio-europejskim stosunku jednostki do społeczności wnoszą Francuzi krytykę. Jednostka ogląda społeczność z wszystkimi jej przywarami. Dramat angielski kontynuuje myśli Oscara Wilde'a i Shawa, dobrze w Niemczech od lat znane i zakorzenione. Tematem jego jest krytyka społeczności, przy czym należy tu rozumieć przede wszystkim społeczność typowo angielską z wszystkimi jej właściwościami. Dramaturdzy angielscy często się przy tym chwytają środków irracjonalnych jak np. Priestley w „Inspektor przyszedł", czy James Bridie w „Panu Bolfrym". Z zestawienia i porównania teatrów rosyjskiego, francuskiego i angielskiego powstało w Niemczech wiele ciekawych artykułów, zastanawiających się na marginesie nad przyszłością tetru niemieckiego. Najciekawszą pozycją w tym zakresie jest artykuł Lutza Bescha „Niemiecki teatr między Wschodem i Zachodem" w „Deutsche Rundschau" z grudnia ub. roku.

O prawdziwym zalewie można mówić, jeśli chodzi o sztuki amerykańskie na scenach niemieckich. Niemcy przyznają, że twórczość dramatyczna Ameryki najwięcej ich uczy. Formalnie jest ona podobna do teatru europejskiego, to znaczy posługuje się zamiast konsekwentnie przeprowadzoną i dramatycznie doskonale wypośrodkowaną akcją — atmosferą, nastrojem, obrazem i milieu. Często także pojawiają się formy z okresu ząbkowania nowoczesnego teatru europejskiego. Stosunek „człowiek i społeczność" przesunął się wyraźnie na korzyść jednostki. Doczesność powiązana jest ściśle z życiem po tamtej stronie, z trwaniem w wieczności, mistycyzm wszelkiego rodzaju od bardzo naiwnego po obłędne konstelacje myślowe wypełnia niejedną amerykańską sztukę. Słusznie też Niemcy piszą, że wielostronność ta i często niejasność wykładu rodzi duże niebezpieczeństwa. O wiele łatwiej jest przyjąć lub odrzucić rosyjską, cel jej jest jasny, myśli nie używa się do budzenia mistycznego niepokoju lub do siania zamętu, lecz do wskazania drogi.

Jak trudno jest pojąć Niemcom teatr Zachodu, ile zachodu myślowego i niepotrzebnego mącenia w umysłach kosztuje ich wytłumaczenie względnie przeciwdziałania tendencjom takiej n. p. sztuki francuskiej, o tym świadczy dyskusja, jaka rozwinęła się po berlińskim przedstawieniu „Much" Sartre'a. Prapremiera niemiecka odbyła się w listopadzie ub. r. w Düsseldorfie. Przedstawienie berlińskie wyreżyserowane przez doskonałego Jürgena Fehlinga miało ogromny sukces, kurtyna na premierze szła 40 razy w górę. Jaki skutek? Dyskusja, — która dotąd przyniosła już ponad sto artykułów, przyczynków, sprawozdań, napaści, sprostowań, zachwytów. W takiej atmosferze można się rzeczywiście czegoś o teatrze nauczyć. Właściwie to sama sztuka, jak mówią niektórzy, nie zasługuje na tak potężne echa. O cóż bowiem chodzi Sartre'owi? Oto fragment dialogu, który starczy za całość tego Sartre'a i jego tendencji ideowych:

Orest: ...Ciężkim krokiem pójdziemy dalej. — Podasz mi rękę i pójdziemy.

Elektra: Dokąd?

Orest: Nie wiem...

Nazwano „Muchy" sztuką pesymistyczną, pytano się po sztuce, czy człowiek jest rzeczywiście wolny, pojawił się pogląd, że jest to apoteoza mordu dla wolności. „Der Kurier" zaś wydawany w sektorze francuskim Berlina ogłosił na dwóch kolumnach vademecum dla widza p. t. „Tesknota za niewinnością", gdzie wywiódł uczenie, jak to Sartre proponował marksistom swój egzystencjalizm i jak to w gruncie rzeczy, mimo pozornych sprzeczności a nawet walki, blisko jest od marksizmu do egzystencjalizmu. Myślę, że wartoby zdać dokładnie sprawę z tej całej dyskusji na łamach jakiegoś teatralnego pisma polskiego, tym więcej, że Sartre pojawia się także na scenach polskich i że u nas nie brakło już śmiesznych głosów, coprawda na razie nieprzemyślanych i antraktowych, jedynie, że Sartre mógłby być dobrym marksistą. Możemy powiedzieć śmiało, że niemieccy krytycy, zabierający głos na temat sartrowskich „Much", przysłużyli się ogólnie biorąc, europejskiemu teatrowi, dając wiele trafnych komentarzy nie tylko do samej sztuki ale i do odwiecznych problemów wolności, praw jednostki w sztuce.

Jeden z dowcipniejszych krytyków niemieckich (w „Berliner Mittag") swoje omówienie sztuki zakończył czterowierszem, mającym według niego charakteryzować całość przedstawienia:

O śmierci kokieteryjnie kazać,
eksperymento - egzystencjołgać...
ach, choćbyś i mózg ciął
oskardem,
wiedz, nic jest za monsieurem
Sartrem.

Niemieckie życie teatralne płynie pod znakiem dyskusji, odkrywania świata i człowieka. Uczą się pilnie i już dziś odgrażają się, że wkrótce będą mieli najlepszych dramaturgów. Ano, zobaczymy. Warunki mają wspaniałe, ale czy wielcy pisarze teatru nie wyrastają przypadkiem właśnie z przeżycia losu własnego narodu ze zrozumienia jego powikłań historycznych i ocalenia, by dopiero na kanwie doświadczeń narodowych snuć dramat człowieka?

WISZ

JÓZEF MITKOWSKI

W roku »Wiosny Ludów«

Mało kto uświadamia sobie, jak wielu Polaków mieszkało w pamiętnym roku 1848, roku „Wiosny Ludów" we Wrocławiu. Byli to nie tylko Polacy od wieków siedzący we Wrocławiu, śpiewający polskie pieśni w kościołach (zwłaszcza w kaplicy św. Anny), ale i nowa fala, która świeżo nadpłynęła. Składały się na nią trzy grupy: studenci Polacy, kształcący się licznie na tutejszym uniwersytecie, żywioł burzliwy i konspirujący; dalej działacze emigracyjni, którzy pod wrażeniem rewolucji we Francji ruszyli w drogę do ojczyzny i w liczbie paruset osób zatrzymali się we Wrocławiu; wreszcie zamożne polskie ziemiaństwo, które przestraszone wzmagającą się falą rewolucyjną szukało schronienia we Wrocławiu przed ewentualnością powtórzenia się wypadków sprzed dwóch lat i wcale licznie poosadało w hotelach, a nawet w zakupionych własnych domach.

Głównym skupiskiem Polaków była ulica Piaskowa (Sandstrasse), obecnie św. Jadwigi na Ostrowie, niedaleko uniwersytetu Tu krzyżowały się nici kontaktów kraju z emigracją, tu istniały etapy przemytu broni i bibuły rewolucyjnej. Tu także (w domu nr 13) odbyły się w dniach 5—8 maja 1848 roku ważne narady polityków polskich. Poprzedziło je przybycie do Wrocławia z początkiem kwietnia 1848 dwóch znanych krakowskich konserwatystów, Antoniego Zygmunta Helcla i Maurycego Potockiego. Po porozumieniu się z licznie przebywającymi we Wrocławiu repre zentantami ziemiaństwa, oraz z przedstawicielami ks. Adama Czartoryskiego (zwł. Teodorem Morawskim) skrystalizował się ostatecznie projekt (sam pomysł powstał w kilku różnych grupach równocześnie) zorganizowania zjazdu polityków polskich we Wrocławiu, poświęcony przede wszystkim sprawie stworzenia międzydzielnicowego rzadu polskiego. Rząd taki wydawał się szczególnie potrzebny na wypadek wojny Francji i Prus z Rosją carską, na której wybuch wówczas powszechnie liczono; Wrocław w tym wypadku nadawał się szczególnie na siedzibę władz polskich Rozwinęła się żywa akcja: rozsyłano listy, odbywano rozmowy i konferencje z działaczami polskimi z wszystkich zaborów. Na nominalnego organizatora zjazdu upatrzył sobie obóz zachowawczy generała Henryka Dembińskiego. Popularny i znany, bliski przekonaniami prawicy, nadawał się doskonale do tej roli. A że głosił z przekonaniem zapatrywania „że my emigracja niczym jesteśmy wobec kraju; że temuż żadnej formy rządu, żadnych obcych teoryj przynosić nie mamy prawa... „to tylko była woda na młyn prawicy, zamierzającej wykluczyć od udziału w obradach demokratyczne żywioły emigracyjne."

Pod tym też prawicowo-stronniczym kątem widzenia rozdawano zaproszenia na zjazd. Oczywiście nie sposób było pominąć wybitniejszych krajowych działaczy demokratycznych; znaleźli się oni wśród przedstawicieli Galicji i Poznańskiego. Spośród ostatnich szczególnie doniosłą, a dla organizatorów bardzo niemiłą rolę miał odegrać Roger Raczyński, wraz z biorącymi udział jako osoby prywatne w zjeździe Augustem Cieszkowskim i Antonim Kraszewskim. Działali oni, zdaje się, jako zaufani zawiązanego w dniu 3. 4. 1848 na terenie Wielkopolski ściśle zakonspirowanego Tymczasowego Rządu Narodowego, mającego ambicje do rozszerzenia swej władzy na wszystkie ziemie polskie. Jeszcze w okresie konferencyj przedwstepnych zgłosili Poznańczycy skwapliwie swój przyjazd, a jak się później okazać miało, chodzić im będzie o niedopuszczenie do zorganizowania konkurencyjnego ogólno-polskiego rządu w konserwatywnym wydaniu. Udało się natomiast organizatorom zjazdu nie dopuścić do udziału radykalnego odłamu emigracji polskiej, lecz było to pyrrusowe zwycięstwo: Odsunięta grupa emigrantów miała się stać ogniskiem ostrych ataków na sam zjazd. Nie wziął w zjeździe udziału ks. Adam Czartoryski, lecz ograniczył się do wysłania Teodora Morawskiego, jako swego zaufanego i obserwatora. Poza zjazdem pozostał również Aleksander Wielopolski, przeciwnik myśli wojny z Rosją w oparciu o Prusy (na co ogół liczył) i prowadził zakulisową agitację przeciwzjazdową.

Przybyło na zjazd z górą pół setki osób. Reprezentowani byli konserwatyści (głównie z Krakowa), Komitet Poznański, Centralna Rada Narodowa lwowska, a także, zdaje się, Królestwo Kongresowe. Organizatorzy zjazdu, zapewniwszy sobie, jak mniemali, większość, próbowali z kolei wciągnąć do obrad odpowiednio nieliczne reprezentacje Komitetu Krakowskiego (który zbiegł do Wrocławia po wypadkach z 26. IV) oraz przebywającej we Wrocławiu emigracji demokratycznej. Obie grupy odpowiedziały jednak odmownie, a nawet zaprotestowały „przeciw konfederacji pod laską jenerała Dembińskiego zawiązującej się".

W pierwszy dzień zjazdu zagaił obrady gen. Dembiński i natychmiast złożył przewodnictwo (powierzono je Kraszewskiemu), gdyż jako emigrant w myśl swych poglądów nie powinien był sprawować naczelnych funkcyj. Pierwszy dzień obrad upłynął na wałkowaniu sprawy zaproszenia przedstawicieli emigracji i komitetów poznańskiego oraz krakowskiego do udziału w obradach. Z wszystkich trzech stron odpowiedziano — nie! Ośmielony tym Raczyński zaatakował w drugim dniu obrad samo uprawnienie zgromadzonych do zabierania głosu w imieniu kraju i zapowiedział, że uchwały zjazdu wykonywane nie będą. Poparli jego stanowisko lwowianie (Hubicki i Dzierzkowski). Prawica, reprezentowana głównie przez Helcla i Meciszewskiego, zmuszona była porzucić pierwotny plan „ustanowienia we Wrocławiu władzy centralnej, która by w jednym duchu kierowała postępowaniem w prowincjach". Zdołała jednak przeforsować pomysł powołania we Wrocławiu „Komisji Centralnej Federacyjnej" dla załatwienia takich spraw, jak zaciąganie pożyczek za granicą, oraz organizowanie akcji prasowej i propagandowej; powołano komisję dla zredagowania odpowiedniego projektu.

Projekt komisji redakcyjnej przewidywał jedenastoosobowy skład „Komisji Federacyjnej" tj. dwóch przedstawicieli Krakowa i po trzech z Królestwa Kongresowego, W. Księstwa Poznańskiego i Galicji ze Lwowem. Przedstawicieli Kongresówki miała wybrać emigracja polska we Wrocławiu. Przedstawicielami Poznańskiego mieli być Raczyński, Libelt i Moraczewski („trzej dyktatorzy"). Przedstawicieli Galicji miała wybrać Centralna Rada Narodowa. W ten sposób zarysował się układ „Komisji Federacyjnej" jako organu o przewadze żywiołów postępowych. Gdy nadto w czasie obrad dnia 7 maja zyskał poklask projekt, by przedstawicieli Krakowa wybrać nie z konserwatystów, lecz spomiędzy członków rewolucyjnego komitetu krakowskiego, klęska konserwatystów była zupełna. Na domiar jeszcze August Cieszkowski podkopał samą myśl „Komisji Federacyjnej", wysuwając projekt utworzenia „polskiej ligi zbożowej", instytucji gospodarczo-handlowej, legalnej i jawnej, obejmującej wszystkie zabory. Projekt Cieszkowskiego zyskał uznanie większości zgromadzonych, a pomysł tworzenia „Komisji Centralnej Federacyjnej" upadł.

Ostatni dzień zjazdu upłynął pod wrażeniem wieści i utworzeniu przez żywioły demokratyczne z emigracji, z Poznańskiego i z Krakowa „Komitetu Centralnego Polskiego". Mimo to zjazd przystąpił do dalszych obrad, rozważając projekt utworzenia międzydzielnicowego rządu polskiego. Sam jednak pomysł natrafiał na poważne sprzeciwy. Wskazywano na istniejącą już Centralizację Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, jako bardziej powołaną do tej roli. Ostatecznie do utworzenia rządu międzydzielnicowego nie doszło. Uchwalono natomiast odezwę pióra Augusta Cieszkowskiego, pełną szlachetnych myśli, jak żądanie redukcji wojsk przez państwa, zwołania europejskiego kongresu ludowego i utworzenia „sądu przysięgłych narodów" dla załatwiania spraw spornych między narodami. A tymczasem stanowisko Prus, wrogich rewolucji i szukających porozumienia z caratem wyjaśniło się ostatecznie. Nadzieje na wojnę z Rosją rozwiały się. Zjazd kończył się bez entuzjazmu. Kończył się zwycięstwem lewicy, która nie dopuściła do uformowania przez żywioły konserwatywne i ziemiańskie międzydzielnicowego rządu polskiego o pozorach organu pochodzącego z woli powszechnej.

Józef Mitkwski

Artykuł jest oparty na ciekawej książce dra M. Tyrowicza: Polski Kongres Polityczny w Wrocławiu 1848 r., Kraków 1947, stron 110, która w bieżącym roku nabrała szczególnej aktualności.

Portret trumienny Krzysztofa Unruha (zm. 1723)
Z muzeum w Międzyrzeczu

»Portrety

Dowodem polskości Ziem Odzyskanych w minionych wiekach są między innymi zabytki sztuki. Zrozumiałym więc jest obecne duże zainteresowanie polskiej nauki tymi plastycznymi przejawami. Tym bardziej, że ich dotychczasowe niemieckie opracowania były zależne od nastawienia politycznego i dalekie od należytego obiektywizmu. Niektóre z nich nawet niekiedy wyraźnie pomijano. Stan ten wobec znajomości metod niemieckich nie wywołuje żadnego zdziwienia. T. Przypkowski w artykule swoim „O godło państwa" (Odrodzenie, 1948 nr I) podaje, że E. Wiese, znany niemiecki historyk sztuki średniowiecznej skarżył się jemu, iż czynniki polityczne nie pozwalały na należyte opracowanie i publikowanie śląskich nagrobków piastowskich.

Zniszczenie i trudny dostęp do archiwów, zwłaszcza z XVII i

Serce oporu

(Dokończenie ze str. 1)

śli nie sama, to przez polskich Piastowiczów pomorskich władała tu ponad 652 lata (od 985—1637 r.), Szwedzi 76 lat (od 1637 — 1713), a Niemcy 232 lata (od 1713—1945).

Z tą myślą, jakże spokojnie ogląda się słupskie zabytki.

Najstarszym, oczywiście, będzie grodziszcze, zamek nad Słupią. Idąc ku niemu, zbliżamy się do bryły Mariackiego kościoła. Pochodzi z XIV wieku.

Zniszczony po wojnie, dziś w odnowieniu. Oto na linie wciągają na wieżę świeżą, białą belę. Robotnik z góry nagle ciska jakiś tłomoczek ku drugim, co stoją przy wagonetce z gruzem. Wszyscy śmieją się. Przechodzimy pod łukiem odrzwi.

W kruchcie ryte na kamieniach nagrobki. Wewnątrz rusztowania. Wszystko obrzucają tynkiem.

W kruchcie, dość wysoko łaciński nagrobek, przewija się imię któregoś Piastowicza, a w tekście łatwo uwieczniona nazwa miasta: Stolpa. Więc nie Słupsk, jeno z pomorską przestawnością: Stolp. Od wysokiej wieży więc zwało się grodziszcze. Może była tam, gdzie stoi dzisiejsza zamkowa, ciężko-gotycka. Nasuwa się na myśl epoka, kiedy świątynie nie z łacińska zwano kościołami, lecz z starosłowiańska gadano tu: cerkwia.

Pod tym znamiennym nagrobkiem, niższy, wiąże inicjały imion partycjuszów miejskich.

Wewnątrz kościoła wspaniała tablica pamiątkowa. Na samym jego dole leży postać, kuta w bazalcie: żona jednego, matka drugiego z Piastowiczów, wyobrażonych w bocznych medalionach.

Od kościoła zwracamy się w lewo i obchodzimy zamek. Szkoda, że tak zapuszczony. Musiał być chyba spichrzem przy rażącym, jak w Darłowie, młynie wodnym. Jak tu, tak i tam, był kiedyś wynalazkiem i skarbem księcia. Pobudowano go więc blisko, na oku. Potem zamek podupadł, a młyn, technicznie unowocześniony, przerósł swego godnego sąsiada.

Wychodząc, raz jeszcze obracamy oczy na wieżę, wnuczkę prasłowiańskiego stolpa. Był kiedyś budowlą, z której byli dumni i cieśle i książę. Wieże takie zwano potem „Dorotkami" lub z francuska: donjon. Były to serca oporu grodzisk. Tu broniono się do upadłego i oto w powiecie tego symbolicznego grodu dogasają ostatni „oporni": Słowińcy.

Z nich to była owa Sulka, z którą żył ostatni książę Gdańskiego Pomorza, Mszczuj II (r. 1295). Dała mu jednak dwie córki i z tych jedna, Małgorzata, wydana za Wisława z Rugii, urodziła mu córkę i syna. Ten jednak Wisław IV stał się ostatnim z wyspiarskich książąt, a włość słupska z Rugią razem dostała się ks. Warcisławowi IV, synowi owej córki Małgorzaty, prawnukowi Sulki-Sulisławy. Krew ludowa tej dziewczyny ze Słupska wmieszała się do rodowodu książąt pomorskich. Krew była Polsce bliska, Niemcom wroga, toteż — zastawieni przez Barnima III Wielkiego w czasie rozrachunków rodzinnych — Krzyżakom, mieszczani słupscy „wykupili się sami, wkupując się pod władzę rodzimych książąt".

Ku ratowaniu słowiańskości swego ludu w tejże strony bliskości obrócił się Barnim XII bytowski, a jego myśli podtrzymała bratanica, Anna, siostra ostatniego Bogusława. Anna Gryfitka, przeżywszy brata, z podziału Pomorza między Szwedów a Hohenzollernów, zapewnionym sobie dożywociem uratowała Ziemię Słupską, ostatnią obronną ostoję. Przedłużyła się w jej ręku suwerenność piastowska. Póty jej było — póki jej życia. Anna Gryfitka — to ostatni stolp obronny Pomorza, ostatnie wzmocnienie ginących Słowińców.

A jednak mieli także swoje wielkie dni, jak ekspansja mitry książęcej Eryka Piastowicza po trzy korony wkoło Bałtyku. Silniej na tym wspomnieniu staje słowiński stolp, który dziedziczymy prawem historycznego odegrania pomorskiej przegranej.

Jarosław Rogala.

Nad rzeką Łyną

(Dokończenie ze str. 1)

Prowadzone są w tym celu dwa uniwersytety ludowe: mazurski w Rudziskach pod Pasymiem i warmiński w Jurkowym Młynie pod Morągiem. Z zapałem gromadzone są przez kustosza II. Skurpskiego na zamku, w którym mieszkał przed czterystu laty M. Kopernik zbiory etnograficzne a przez prehistoryka mgra J. Antoniewicza zbiory prehistoryczne. Zamek ten istniał już w 1400 r. wraz z zewnętrznym murem okalającym miasto i broniącym je przed napadami. Gotycka wieża zwana Wysoką Bramą to resztki tych obwarowań miasta, założonego dość późno, bo dopiero w r. 1353. Mikołaj Kopernik był tu z ramienia kapituły warmińskiej administratorem powiatów olsztyńskiego i melsackiego (dziś Melsak-Pieniężno). Nietknięte stoi na szczęście całe skrzydło północne zamku i południowe oraz mur łączący. W południowo-zachodnim wznosi się baszta, która według tradycji miała służyć Kopernikowi do dokonywania obserwacji astronomicznych.

Opuszczałem ziemię mazurską z myślą, że tu jeszcze zawitam kiedyś na czas dłuższy, aby głębiej ją poznać.

Stanisław Rospond.

DAPHNE DU MAURIER

Generał Jego

X)

PIERWSZY przybył Imć pan Ambroży Manaton. Nazwisko to było mi od dawna doskonale znane, gdyż rodzina Harris'ów od wielu pokoleń prowadziła proces z rodziną Manaton'ów. Gdy całował mą dłoń, patrzyłam na niego z napiętą uwagą. Jakaż właściwie była jego rola w tej walce? Nigdy nie słyszałam o nim, jako o żołnierzu. A więc pieniądze? — Posiadłości?

Ryszard niewątpliwie dobrze otaksował jego wartość. Nie można wzniecać powstania, nie mając funduszów. Czyżby więc Ambroży Manaton trzymał kasę? Zastanawiałam się, co też go skłoniło, by narażać w ten sposób swe życie i mienie. W chwilę potem sam dał mi do ręki klucz do tej tajemnicy.

— Jejmość pani Denys jeszcze nie przyjechała? — spytał.

—Jeszcze nie. Waćpan znasz ją dobrze?

Mieszkając w północnej Kornwalii, możemy się przecie uważać za bliskich sąsiadów z tymi, co mieszkają w północnym Devonie.

Powiedział to tonem swobodnym, uśmiechając się z pewnością siebie. Och, Ryszardzie, moja miłości, nigdy przecie nie miewałeś skrupułów! Tak więc Gartred była przynętą, na którą wabiłeś tygrysa!

— Brat mój, Generał Major Harris, jest w tej chwili plenipotentem Jejmość Pani Denys, jak mi się zdaje?

— Co, tak, czymś w tym rodzaju— rzekł Ambroży Manaton, pilnie się przypatrując noskowi swego bucika. Powiedział to o włos zbyt niedbale.

— Czy widziała się Waćpanna ostatnio ze swym bratem? — spytał po chwili.

— Nie widziałam go już od dwóch lat.

— To zobaczy w nim Waćpanna teraz wielkie zmiany. Nerwy ma poszarpane całkowicie.

Na krótko przed zmrokiem przybyli oboje razem. Powitałam ich w krużganku całkiem sama. Rządy Parlamentu nie zrobiły Gartred zbyt wielkiej krzywdy. Stała się tylko nieco pełniejsza w talii, ale było jej z tym dobrze. Dziwnym trafem pozwoliła, by natura wycisnęła swe piętno na jej włosach, które nie lśniły już teraz blaskiem szczerego złota, lecz mieniły się srebrnymi pasmami. Wyglądała przez to jeszcze piękniej i jakoś bardziej delikatnie. Wchodząc do pokoju rzuciła swój płaszcz Robinowi, ujawniając tym pierwszym, niedbałym gestem to wszystko, czego się chciałam dowiedzieć o ich wzajemnym stosunku. W krótkim dreszczu wróciłam myślą do tego czasu, kiedy to ona była dwudziesto trzech letnią, młodziutką mężatką, którą już zdołał znudzić Kit, jej sługa i niewolnik, przez to, że nie miał dość siły woli, by grać rolę pana i władcy.

Tu, w krużganku dworu w Menabilly, ujrzałam jeszcze raz oczy Kita, pełne psiego uwielbienia.

Ale prawdę mówił Ambroży Manaton. W oczach Robina było coś więcej, prócz samego uwielbienia. Wyzierało z nich także naprężenie duszy, zwątpienie, niepokój. A tęgi kark i zbyt pełne policzki, zdradzały skłonność do kieliszka. Tak więc klęska i Gartred ściągnęły wysokie myto z mego brata.

— Ulokowałam się w długim pokoju na piętrze — rzekłam jej — Pokój Robina jest zaraz na lewo, a Imć Pan Ambroży Manaton ma tę małą sypialnię na prawo, tuż przy samych schodach. Myślę, że chyba nie powinnaś się niczego obawiać, mając z obu stron tak rycerskich kawalerów do obrony.

Nie mrugnęła nawet okiem, lecz zwracając się do Robina, wydała mu jakieś polecenie, dotyczące bagaży. Oddalił się natychmiast, posłusznie, jak sługa.

— Zniszczyłaś już dawniej jednego członka mojej rodziny — rzekłam jej. — Uważaj, żebyś teraz drugiego nie doprowadziła do ruiny.

— Sądzisz, że możesz mi w tym przeszkodzić? — spytała.

— Ja nie — odparłam. — Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ja cię tylko ostrzegam.

Umilkłyśmy obie, bo drzwi się z nagła otwarły i stanął w nich On, patrząc na nas. Kapelusz ocieniał mu twarz, długi płaszcz zwisał mu z ramion aż do ziemi. Gdzieś się podziały rudawe włosy, które kochałam tak bardzo, a pokrętna peruka, z lokami, opadającymi znacznie poniżej uszu, nadawała mu ponurego, satanicznego wyrazu, którego nie mógł przezwyciężyć uśmiech.

— Cóżby to była za gratka dla Szeryfa hrabstwa, gdyby tak przypadkiem tu wstąpił! — powiedział. — Każde z nas po kolei jest zdrajcą.

Wszyscy patrzyli na niego zdumieni, nawet Gartred przez chwilę nie mogła nadążyć za jego bystrą myślą. Zobaczyłam, że Dick drgnął i zaczął obgryzać paznokieć. Ryszard rzucił płaszcz i kapelusz w ręce służącego, który stał w hallu i podszedł do mego fotela.

— Długo czekałaś? — zapytał.

— Dwa lata i trzy miesiące — odrzekłam.

— Dzięki Bogu, jest jeszcze na świecie kobieta, która nie lekceważy punktualności — powiedział.

* * *

Stopniowo uzgadniano projekty i ustalano plany. Nadeszła w końcu wieść z Francji, od Księcia, że oddano mu do dyspozycji flotę francuską i że armia pod dowództwem Lorda Hopton wyląduje w Kornwalii. Równocześnie Książę, wraz z Sir John'em Grenvile ma zdobyć Scillies. Inwazja ma się zbiec z wybuchem powstania, które poprowadzi Sir Ryszard Grenvile. Ma on opanować i utrzymać kluczowe punkty Hrabstwa. Sobota, dzień trzynasty maja został wyznaczony na rozpoczęcie powstania w Kornwalii...

Czwartek, 11 maja, wstał równie upalny i duszny, jak i dni poprzednie. Za czterdzieści ośm godzin żagiew wojenna zapłonie znowu nad Kornwalią.

Siedzieliśmy wszyscy w sali jadalnej; brakowało jednej tylko Gartred. Dziś jeszcze widzę wyraźnie przed sobą napięte, niespokojne twarze mężczyzn, wpatrzonych milcząco w swego dowódcę

— Jeśli by się przypadkiem coś nie powiodło — odezwał się Manaton z wahaniem — czy można cokolwiek zrobić, by zapewnić nam bezpieczeństwo?

Ryszard rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

— Nie — odrzekł krótko. Wrócił do stołu i pozbierał papiery. — Wydałem już rozkazy wszystkim razem i każdemu z osobna. Wiecie wszyscy, co macie robić.

Zwrócił się do Robina.

— Chcę, żebyś pojechał do Trelawne — powiedział — i żebyś dał znać Trelawney'owi i jego synom, że zmienił się plan sobotniego spotkania. Oni i Sir Artur Basset mają się zjechać u Sir Charles'a Trevannion w Carhayes. Powiedz im, żeby wyruszyli jeszcze dziś w nocy. Niech się trzymają zawsze samego skraju gościńca. Pojedziesz tam razem z nimi.

— Rozkaz — rzekł Robin zwolna, podnosząc się z krzesła. Myślę, że nikt prócz mnie nie zauważył krótkiego błysku w spojrzeniu, które rzucił Ambrożemu Manatonowi. Co do mnie, to ciężar spadł mi z serca. Niechże sobie Gartred i jej kochanek wykorzystają w miarę możności tych parę godzin, które im jeszcze pozostawały. Nic mnie to nie obchodziło, byle tylko Robin był dość daleko, by nie mógł ich zobaczyć.

— Czy dla mnie nie masz żadnych poleceń, ojcze? — spytał Dick nieśmiało.

— Owszem, mam — odrzekł Ryszard, nie odwracając głowy. — Dzieci na pewno zostawiły lalki na strychu. Poszukaj ich i zrób im nowe sukienki.

Dick nic się nie odezwał. Poszedł trochę bledszy, niż zwykle, jak mi się wydało i odwróciwszy się na pięcie, opuścił pokój.

— Któregoś dnia dopełnisz miary prowokacji — rzekłam do Ryszarda.

— O to mi właśnie chodzi — odparł.

Tego dnia wszyscy pokładliśmy się wcześnie spać. Usłyszałam, że Gartred wchodzi pierwsza do swego pokoju. Za nią wszedł Ambroży Manaton, a potem cisza zalegla cały dom.

Musiało już być chyba koło północy, gdy się nagle zbudziłam, z dziwnym wrażeniem, że zbudził mnie jakiś ruch na dole, w sali jadalnej. Tak, usłyszałam to znowu najwyraźniej. Usiadłam w łóżku, nadsłuchując. Znowu cisza panowała niezmącona.

Nie opuszczał mnie jednak niepokój. Wyciągnąwszy rękę po omacku, przyciągnęłam fotel do łóżka, potem jeszcze raz wytężyłam słuch. I wtedy nagle w sposób nieomylny usłyszałam kroki, skradające się po schodach. Chy-

heroiczne«

XVIII wieku utrudnia wysoce przeprowadzenie badań nad problemem narodowościowym na Ziemiach Odzyskanych. Pragnę tutaj zwrócić uwagę na ciekawe zjawisko artystyczne, którym można braki te do pewnego stopnia usunąć.

W Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu otwarto wystawę „Portret polski XVII i XVIII wieku". We wstępie katalogu tej wystawy zwrócono już uwagę na doniosłość, jaką posiadają nieopracowane portrety trumienne przy badaniu problemu tak zwanego autochtonizmu historycznego na Ziemiach Odzyskanych.

Na specyficznie polski charakter tych portretów zwracali już uwagę nawet niemieccy badacze. H. Ehrenberg w swojej „Geschichte der Kunst im Gebiete der Prov. Posen" (Berlin — 1893), wyraźnie mówi, że są one „eine national-polnische Sitte".

Granice ich topograficznego występowania zakreślają więc teren oddziaływania polskiej kultury i obyczajów. Specjalnie dużo znajdujemy ich w zachodniej Polsce, na Ziemi Lubuskiej, co z autopsji sam mogłem stwierdzić, biorąc udział w wyprawie naukowej po Ziemi Lubuskiej w roku ubiegłym, zorganizowanej przez Instytut Zachodni w Poznaniu.

Na terenach pogranicznych w ujęciu swym przybierają one pewną odrębną formę. Portrety te określić możemy jako „heroiczne". Prezentowane postacie o barokowym zamaszystym geście, z podgolonymi głowami, ubrane są w zbroje z zarzuconymi na nie płaszczami, z orderem Orła Białego lub Św. Stanisława. Do grupy tej z przedstawionych na wystawie zabytków zaliczyć możemy portrety trumienne: Aleksandra Bronikowskiego i Krzysztofa Unruha z Muzeum w Międzyrzeczu i Rafała Gurowskiego ze Wschowy. Wymownym faktem w tym zespole jest występujące tu nazwisko Unruh i przejęcie przez rodzinę jego obyczaju polskiego, jakim były portrety trumienne. Napis na rewersie tego portretu wymienia nazwisko matki jego de Troschin i żony de Goltzin Klausdorf, które również jak należy przypuszczać, żyły w obrębie kultury staropolskiej.

Portret trumienny Rafała Gurowskiego, starosty wschowskiego (zm. 1797)
Z kościoła OO. Bernardynów we Wschowie

W Muzeum w Międzyrzeczu znajduje się tablica drewniana, pochodząca z Kurska, na której umieszczone jest 8 cynowych trumiennych tabliczek herbowych w kształcie ośmiokąta z namalowanymi olejną farbą herbem, napisem i datą. Brzmienie napisów na tych tabliczkach jest następujące: 1) „1680 Herb Ich MP. P. Dziembowsky" i ich herb. 2) Tabliczka z tarczą herbową bez napisu. 3) „1680 Herb Ich MP. P. Borkow". 4) „1680 Herb Ich MP. P. Kreskich" i ich herb. 5) „1680 Herb Ich MP. P. Nottenhofow" i ich herb. 6) „1680 Herb Ich MP. P. Fleminkow" i ich herb. 7) „1680 Herb Ich MP. P. Lastow" i ich herb. 8) „1680 Herb Ich MP. P. Prunicow" i ich herb.

Występujące tu między innymi nazwiska szlachty lubuskiej, zaopatrzone polskimi nazwiskami, są dowodem życia tych osób w zasięgu obyczajów polskich. Uzyskane w ten sposób wiadomości trudno byłoby zdobyć z jakiegoś innego źródła.

Portrety te, będąc wytworem tzw. sarmatyzmu XVII i XVIII w. żyją całą skondensowaną w sobie siłą polskości. Fakt ich występowania między innymi na terenach Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, wiąże kulturowo te obszary jeszcze silniej z macierzą. Spotykając się z portretami trumiennymi, możemy być głęboko przekonani o polskości postaci, które przedstawiają mimo niekiedy niemieckiego brzmienia ich nazwisk.

Stanisław Wiliński

Portret trumienny Aleksandra Bronikowskiego (zm. 1724)
Z muzeum w Międzyrzeczu

Mała podróż

NAJPIERW SZCZECIN

Którykolwiek z pisarzy przyjeżdża do Szczecina, wyjeżdża stąd oczarowany miastem, bliskością morza, tempem życia polskiego, ludźmi. Nie tak dawno jedna z młodych pisarek zachwyciła się rozmową z milicjantem szczecińskim. K. I. Gałczyński chętnie opowiada o Szczecinie, od czasu zaś swego pobytu w Szczecinie nazywa siebie z dumą „proboszczem szczecińskim". Wielu pisarzy wyraziło chęć osiedlenia się tutaj. Ale nie należy zapominać przy tym, że w Szczecinie już są pisarze, jest ich mało bardzo, ale wszyscy oni są młodzi i mają szczery zamiar stworzyć w Szczecinie ośrodek literacki, nowe środowisko pisarskie.

Trzeba im w tym pomóc. Trzeba stworzyć w Szczecinie oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich. Szczecin posiada już w tej chwili przewidzianą regulaminowo liczbę członków rzeczywistych Z. Z. L. P., potrzebną do utworzenia nowego oddziału. W tej chwili pisarze Szczecina rozparcelowani są między kilka oddziałów Związku, niektórzy nawet ze względu na łączące ich związki z „ODRĄ" należą do oddziału śląskiego. Taki stan rzeczy nie przyczynia się bynajmniej do zaktywizowania szczecińskiego środowiska literackiego, do stworzenia atmosfery, w której łatwiej wykształcić by się mogły młode talenty, wychować zaś publiczność literacka. Niewątpliwie uczynić to samo w Szczecinie, co uczyniliśmy dotąd we Wrocławiu, będzie rzeczą trudną. Tu w Szczecinie życie literackie nie posiada takiego silnego oparcia, jakie we Wrocławiu stworzył literatom uniwersytet, — tu wystarczyć musi Klub Literacki, istniejący już i działający od wielu miesięcy na terenie miasta, jako podstawa, gdzie styka się twórca z odbiorcą, kształtuje się ich wzajemny stosunek, jako najniższa komórka współżycia literackiego, będąca nie tyle funkcją życia literackiego ile — mimo nazwy — najszerzej pojętego życia kulturalnego.

Szczecin ma w tej chwili kilka doskonałych młodych talentów, z szerzej znanych Franciszka Gila — przypominamy tu jego świetne pod każdym względem szczecińskie reportaże literackie, ogłaszane ostatnio na łamach „Głosu Ludu" — Jana Papugę, autora „Szczurów morskich", Witolda Wirpszę, poetę, oraz Stanisława Telegę, krytyka i prozaika. Obok nich stają nazwiska Waleriana Lachnitta i Czesława Piskorskiego, specjalizujących się w reportażu historycznym oraz Tymoteusza Karpowicza, doskonałego poety najmłodszego pokolenia poetyckiego, autora niedawno wydanych „Legend pomorskich".

Kierujemy zatem pod adresem pisarzy Szczecina postulat: zbierzcie się i utwórzcie oddział Zw. Zaw. Lit. Pol. Jesteśmy przekonani, że Zarząd Główny ZZLP na pewno wam w tym pomoże.

WROCŁAWSCY AKUSZERZY

Od wielu miesięcy krząta się we Wrocławiu spora grupa akuszerów wokół narodzin nowych pism. Mają to być pisma literackie, literacko-społeczne, magazyny ilustrowane. Fruwają w powietrzu proponowane tytuły, krzyżują się nazwiska, szeleszczą cyfry. Wymienia się „Przegląd Wrocławski", „Salamandrę", której ponoć także pragnie się dodać przymiotnik „Wrocławska", zaczyna się jednym słowem urodzajny ferment, z którego oby wyrosło coś naprawdę dobrego i pożytecznego. Nie brak jednak i akuszerów złych. Do takich należy owa pani, która w imieniu pewnej zasłużonej instytucji naukowej jako wydawcy rozsłała zaproszenia do współpracy, w których wyzbywszy się wszelkiej skromności stwierdza, że tylko jej pismo trafi do szerokiego ogółu, gdyż inne według jej zdania nie trafiły, że tylko jej pismo będzie miało do spełnienia szczytne zadania kulturalne...

Już kiedyś o tym akuszerskim fermencie pisało wrocławskie „Słowo Polskie". Wyraziło ono wtedy wątpliwość co do konieczności powstania nowego pisma i to właśnie o charakterze literacko-społecznym. Przecież wychodzą we Wrocławiu naprawdę doskonałe „Zeszyty Wrocławskie", którym trzeba dopomóc, by stały się miesięcznikiem. Jesteśmy przekonani, że redakcja „Zeszytów" chętnie by wówczas rozszerzyła krąg redaktorów, współpracowników i czytelników, że z eklektycznego trochę kwartalnika chętnie by uczyniła żywy, ściśle zakorzeniony w społecznej, kulturalnej a nawet politycznej rzeczywistości Wrocławia miesięcznik. Nie należy zapominać, że pismo to redagują pisarka o bardzo żywym wyczuciu współczesności i pisarz-erudyta, umiejący odmierzać współczesną mu rzeczywistość według norm głębokiego i doświadczonego humanizmu. Obok „Zeszytów Wrocławskich" ukazuje się „Śląsk", prowadzący wprawdzie żywot wątły i nabierający zbyt długiego oddechu do każdorazowego numeru, ale mający już swoich przyjaciół w całej Polsce. Wydawanie takiego pisma jak „Śląsk" jest sprawą społeczno-kulturalną i polityczną dużej miary. Nie można się bezczynnie przyglądać zamieraniu pisma, nie można kiwać jedynie z politowaniem głową, gdy pismo staje się troską i ambicją jednego lub dwóch ludzi. I „Śląskowi" trzeba dopomóc. A wydaje nam się, iż właśnie on posiada wszelkie dane na to, by stać się owym wymarzonym projektowanym wielokrotnie magazynem ilustrowanym Wrocławia i Ziem Odzyskanych. Wreszcie upomnieć nam się należy także o „Zaranie Śląskie", zasłużony periodyk, wiodący już swój 19 rok życia. „Zaranie" wyszło z regionalnego kręgu cieszyńskiego jako organ cieszyńskiego Towarzystwa Ludoznawczego i stało się od razu naczelnym organem literackim Śląska. Przejęte przez Instytut Śląski było przez długi czas jedyną miarą regionalnej ambicyj Śląska w zakresie literatury, sztuki, nauki. Dziś „Zaranie" stoi przed likwidacją a jego obecny wydawca zamierza zaryzykować stworzenie nowego pisma, zamiast uczynić „Zaranie" miesięcznikiem, poszerzyć jego zadania, powiększyć redakcję, czy przenieść ją nawet ewentualnie do Wrocławia.

„Zeszyty Wrocławskie" wychodzą podobno w nakładzie 1000 egzemplarzy. Nie wiemy jaki nakład mają „Śląsk" i „Zaranie Śląskie", ale z pewnością nie przekracza on łącznego nakładu 4000 egzemplarzy. Wiemy, że wszystkie te pisma posiadają sporo zwrotów, idą w sprzedaży opornie, przy czym wina leży i w tym, że niektóre z nich nie posiadają w ogóle administracji. Wszystkie są potrzebne i muszą spotkać się z pomocą. Nie tylko z pieniężną, ale i z pomocą redakcyjną. Wszystkie, realizując te lub inne zadania, są mniej lub więcej oderwane od najżywszego nurtu codziennej rzeczywistości. Trzeba, by je on przeniknął, ożywił, porwał; trzeba, by zasługi, jakie te wszystkie pisma niewątpliwie posiadają, zostały pomnożone i — uznane. Jednym słowem należy im się pomoc różnego rodzaju. Akuszerów wrocławskich, wśród których jest sporo ludzi z inicjatywą, z szczerą chęcią współpracy, z talentem i wiarą, prosimy w pierwszym rzędzie o zainteresowanie się tymi pismami. Budowanie nowego pisma na żyjących jeszcze nieboszczykach to nie tylko makabra ,ale i egoizm. Każde pismo jest dziś własnością ogółu. Nie można przechodzić obojętnie obok jednego po to, by, nie pomagając mu w niczym, tworzyć nowe.

BICZ NA PISARZY

Biczem na pisarzy jest wrocławski publicysta i poeta Leszek Goliński, kochający Ziemie Odzyskane miłością gwałtowną i żarliwą, miłością neofity. Wiele dobrego zrobił Leszek Goliński swoimi artykułami. Wciąż jeszcze jesteśmy mu wdzięczni za śmiałe postawienie sprawy „autochtonów". Jednego tylko nie może dotąd dokazać: nie umie artykułami swymi wzruszyć pisarzy, by osiedlali się na Ziemiach Odzyskanych. „Nie piszcie panowie — woła Goliński — powieści o Ziemiach Odzyskanych w Poznaniu czy Krakowie. Nie ogłaszajcie reportaży z okien wagonu. Ziemie Odzyskane są wprawdzie dla Polski krajem wielkiej przyszłości, ale nie są dla niej Australią, azylem dla szumowin, koszem na śmieci." Gorące manifesty Golińskiego nie znajdują niestety jakoś oddźwięku w prasie centralnej Polski. A są tutaj i tacy, którzy przeczytawszy ich kilka twierdzą, że są denerwujące i śmieszne. Ha, jak kto woli. „Stukilkudziesięciu pisarzy Krakowa woli nadal spacerować po plantach i emablować felietony Kisiela. Wiadomo, że Nysa stworzyła półmilionową nagrodę literacką. „Cóż z tego? Zacni fundatorzy nadal czekają na gruzach swego pięknego miasta na powieść, na dramat, na poemat, na bodaj reportaż literacki, ale czekają daremnie. Mijają miesiące i lata. W Nysie nie pojawił się żaden pisarz, by podjąć w ziemi leżące złote runo." Goliński gromi, nawołuje do opamiętania, przytacza przykłady, płacze. Dobrze, że przynajmniej jeden zarażony tak rzadkim dziś młodzieńczym entuzjazmem dla sprawy naprawdę pięknej podjął się tej przykrej i wyczerpującej roli. Jak długo, bracia pisarze, świstał jeszcze będzie nad naszymi głowami bicz wrocławski? Jak długo jeszcze będziemy się musieli wstydzić? Mówią niektórzy i przytaczają uczone przykłady, że aktualność jest niemal problemem wieczności, że po długich dziesiątkach lat dopiero powstać mogą skończone dzieła epickie o minionej rzeczywistości. Myślę jednak, że nie chodzi nam w tej chwili o dzieła pod względem artystycznym zapięte na ostatni guzik. Ziemia mazurska doczekała się już dwóch pięknych książek, których rezultaty artystyczne, choć nie najwyższe, w zupełności zaspakajają potrzebę zwykłego czytelnika. Ale książki te wypełniły „zamówienie społeczne", dały materiały do dalszych późniejszych prac, nawiązały kontakt emocjonalny między czytelnikiem a piękną tą ziemią, ułatwiły triumfalny pochód przyszłym Sienkiewiczom, Prusom, Iwaszkiewiczom, jeśli obrócą oczy na te ziemie i ich problemy.

Jerzy Szumilas

Dzieje włóczęgi

Ktoś powiedział, że człowiek, który nie je dużo i dobrze, ustosunkowuje się negatywnie do rzeczywistości. — Temu twierdzeniu już wielokrotnie przeczyło życie, a obecnie zaprzeczyła mu książka Józefa Hena*). Historia zaczyna się i niemal kończy stukotem kół, gwarem zbiorowisk ludzkich, płynących najpierw z zachodu na wschód, a później zdecydowanie na zachód. Ruch jest istotą tej opowieści. Jeżeli autor zatrzymuje się gdziekolwiek, to jedynie po to, aby nabrać sił i niejako „wziąć rozbieg" do dalszej wędrówki, której celem jest Armia Polska. Ludzie pojawiają się i znikają. Zaledwie zaczęliśmy się z kimś zżywać, już go tracimy z oczu. Życie, jakie nas otacza (piszę, że nas otacza, gdyż łatwo wchodzimy w atmosferę opowieści, stając się współtowarzyszami podróży) jest barwne i soczyste. Humor maskuje tragiczne sytuacje, w jakich często znajdują się „ludzie z książki". Humor ten zmienia się wraz ze zmianą środowiska. Pod ciśnieniem ofensywy niemieckiej kondensują się i muszą współżyć odległe sobie światy. Polak — tułacz znajduje wszędzie serdeczność. Potrafi porozumieć się z tak innymi psychicznie Uzbekami, Cyganami, a także z Ukraińcami, choć go z nimi skłóciła historia. Jest człowiekiem zniszczonym, obdartym i często głodnym, ale natrafia na ludzi, którzy starają się ulżyć jego niedoli, choć sami są nieraz w mało lepszej sytuacji (robotnik w Stalingradzie). W wielu wypadkach autor, konfrontując ludzi wyrosłych w odmiennych warunkach, ukazuje ich podobieństwa i różnice. Polaka, optymistę z lekkomyślności, przeciwstawia Rosjaninowi, obdarzonemu rozmachem na miarę stepu i naiwną dobrocią.

Wart jest przytoczenia dialog pomiędzy Stefanem, pochodzącym z ziemian, a kowalem Iwanem z zapadłego chutoru.

— U nas tę książkę traktuje się jako świętość, paniatno?

— Czego?

— No... jako rozkaz. Co w niej napisane to — prikaz i kropka. Jasne? Żyje się tak, jak w tej ewangelii nakazują.

Iwan uśmiecha się:

— Znaju, znaju... I u nas tak popi kazali. Ale niewyjdzie człowieku. Książka jest książką: jak każda inna, tylko, że ładniejsza... Jak w bajce, powiadam wam. Ale żeby żyć! Nu-ka pasmotrim...

Zaczyna przerzucać gorączkowo kartki ewangelii: — Wot! patrz, pisze tu, że jak cię biją w jeden policzek, to podstaw drugi. Robisz tak?

Stefan wyprostowuje się. Tfu, u licha! Robi, czy nie robi?

— Naturalnie, bezwarunkowo, oczywiście...

— Charaszo — mówi Iwan — teraz ja cię rąbnę w nos, co ty na to?

Stefan przybiera pozę Mucjusza Scewoli. — Rąb, niech cię wszyscy diabli — mówi z rezygnacją.

— Iii, co tam, nie nada..."

Autorowi możnaby zarzucić przy okazji zbyt obfite raczenie czytelnika obcymi słowami (zwłaszcza w ładnym opowiadaniu uzbeckiego „Aki"). Nie oddają one kolorytu środowiska, ale, jakkolwiek tłumaczone „na gorąco", wikłają treść i męczą...

Wiele jest w książce Hena powiedzeń celnych, metaforycznych. „Lokomotywy bijące salwami dymu" i „Ludzie, szamocący się ze swym snem" — to określenia świeże i sugestywne. Z lawiny obrazów długo pozostaje w pamięci samotny, księżycowy „spacer" po Morzu Azowskim.

Książka dzieli się dość wyraźnie na dwie części. Pierwsza — to właściwe dzieje włóczęgi — człowieka żałosnego, pomimo, a może przez swą zuchwatą postawę. Człowieka żywego, z którym śmiejemy się i z którym przeżywamy gorzką prawdę, tak różną od marzeń! Po tarapatach włóczęga trafia do formującej się w Sumach I Armii Polskiej i od tego momentu sylwetka jego zatraca się i rozmazuje. Bardziej się widzi od tej chwili oddziały, grupy, niż tego, za którym podążaliśmy przez stepy pierwszej części. Autor staje się obserwatorem, a chwilami wydaje się, że dotychczasowy bohater opowieści rozdziela się na kilka osób i działa, oraz mówi „chórem".

Czytelnik traci nadzieję, że pamiętnik wędrowca zamieni się w powieść (powieściowo zakrojone sylwetki Bożenki, a częściowo i Majfata), tymczasem wynika z całej historii reportaż, im dalej, tym bardziej filmowy, choć nie pozbawiony ostrości i wdzięku. Ładnie rysuje się rozdział „Fordem przez szczęście", oddając prawdziwy obraz wyzwalanego kraju. Radosnego pochodu przez oswobodzoną Polskę nie przyćmiewają sceny frontu. To co się pamięta z książki, to gwizd lokomotyw i warczenie traktorów, ale nie mowa dział.

Pomimo pewnej niejednolitości, książka tak wyraźnie maluje ludzi i krajobrazy, jest tak ciekawa i dowcipna, tyle daje materiału do myślenia, że warto ją jak najrychlej zdobyć i przeczytać.

Roman Hussarski

*) Józef Hen: „Kijów — Taszkent — Berlin" Wydawn. „Literatura Polska", Katowice, str. 310.

Dwie książki amerykańskie

Świetne artykuły Jana M. Nowaka w „Odrodzeniu" o życiu w USA mimo woli pozostawiają w człowieku osad niepewności. Czy autor przypadkiem nie przejaskrawia pewnych cech, generalizuje, aby tym samym podnieść wartość swych sądów i spostrzeżeń? Czy nie nagina specyficznych wydarzeń do swych koncepcji publicystycznych aby upozorować nimi tendencje? Nowak jest bystrym obserwatorem w dzisiejszej rzeczywistości amerykańskiej dopatruje się rzeczy, które przeciętnemu czytelnikowi polskiemu wydają się jedynie propagandą antyamerykańską, złą wolą i nastawieniem zdecydowanie politycznym. Czy tak jest? — Ameryka! W słowie tym mieści się wiele tęsknot obywatela Europy. W Ameryce są cowboye, miliarderzy, w Ameryce jest Hollywood. Tak zdaje się wygląda pogląd na Amerykę wielkiej części naszych zjadaczy chleba powszedniego, pogląd urobiony jeszcze z czasów młodości, z lektury, z filmu, kultywowany starannie jako coś upragnionego, doskonałego. Niestety zapomina szary człowiek o szarym człowieku amerykańskim, o zwykłym życiu zwykłych ludzi — bo oprócz cowboyów, miliarderów i gwiazd filmowych kraj ten zamieszkuje stokilkadziesiąt milionów zwykłych ludzi. Nowak między innymi sprawami poświęca im sporo miejsca, pisze to co widzi na ulicy, w kinie, w prywatnym domu. Wszedł dość głęboko w ludzkie sprawy konflikty i powikłania człowieka w USA. I to co pisze straszy zacnych mieszczan.

Niestety artykuły o drugiej półkuli świata pozostają w próżni nie poparte są bowiem autentykiem. Trzeba im wierzyć na słowo. Literatura amerykańska która jak żadna inna literatura obecnie na świecie nie odźwierciadla lepiej sytucji społecznej i obyczajowej — jest w Polsce znana tylko z kilku fachowych artykułów. Dość mało, aby uwierzyć w jej rolę, jaką odgrywa ona w świecie kulturalnym, dość nieprzekonująco, aby udowodnić czytelnikom J. M. Nowaka słuszność jego tez. Hemingway, Steinbeck, Caldwell i Faulkner — to nazwiska wprowadzone już na rynek publicystyczny, ale tylko dla wtajemniczonych. Dopóki książki ich nie będą przetłumaczone, dopóki nie będą leżeć na stole w domu czytelnika — nie zwalczy się w żaden sposób powszechnego kompleksu eldorada amerykańskiego.

Literatura amerykańska jest literaturą realistyczną. Istota i doniosła rola powieści amerykańskiej polega na walce z całokształtem rzeczywistości amerykańskiej: z ustrojem, obyczajem, człowiekiem z wszystkim tym co uderza polskiego publicystę. Nie ma w tej literaturze psychologii, usprawiedliwiającej człowieka i jego działanie, nie ma ślepych uliczek politycznych, są fakty, fakty druzgocące w swym wyrazie bezkompromisowe.

Książka Reasonera „Mam 20 lat" *) jest debiutem pisarskim młodego Amerykanina. Nie jest to pozycja tej miary co książki wyżej wymienionych pisarzy, daje jednak doskonałe tło do pełnego poznania klimatu współczesnego pisarstwa amerykańskiego. Jest tak samo bezwzględna i szczera. Idzie w niej o to samo. O ukazanie dni przeciętnego człowieka. Portret mężczyzny i kobiety w ujęciu H. Reasonera jest jeszcze jednym przykładem wniosków J. M. Nowaka. Życie amerykańskie wyzwoliło się z „przesądów" moralności, stało się przetrawieniem zdobyczy cywilizacyjnych szukaniem przygody, która w większości wypadków kończy się przegraną człowieka uchwyconego bez reszty w tryby ustroju. Reasoenr nie jest odkrywcą nie jest punktem zwrotnym. „Mam 20 lat" jest książką utalentowanego pisarza, który ostro widzi, który nie bawi się w koncepcje artystyczne, ale stawia zagadnienie od razu prosto, uczciwie i przekonywająco. Fabuła książki oparta na życiu młodego reportera ciekawa i prowadzona zręcznie przez cały czas — pozwala dobrze przyjrzeć się młodemu pokoleniu amerykańskiemu jego walce o chleb codzienny, ideałom i zainteresowaniom. Nie ma w tej książce uwag od autora, zręcznych aforyzmów, reflektora skupiającego światło na partiach wybranych przez pisarza, treść biegnie równolegle ze zdarzeniami. Relacja jest beznamiętna, dokładna, bohaterzy stają się ludźmi z krwi i kości na oczach czytelnikach, jeśli można tak powiedzieć. Każdy fakt przynosi skutek w postaci nowego faktu. Czytelnikowi dopiero jest danym uszeregować je według ważności i wpływu na tok psychiczny postaci. Rzemiosło Reasonera jest powszechną zdobyczą pisarzy amerykańskich. Cechuje je prostota opisu, ucieczka od hierarchii zdarzeń.

Reasoner ma doskonałą prasę krytyczną w Stanach Zjednoczonych. Jest to bowiem bezwątpienia jeden z najbardziej obiecujących talentów prozatorskich Ameryki. Wcześnie osierocony przepychał się Reasoner przez życie zarabiając nowelami drukowanymi w pismach od najmłodszych lat. Wreszcie gdy zaczął pracować w redakcji dziennika „Daily Times" — wojna przerwała pierwszy okres jego powodzenia. Ubiera mundur żołnierza. Wtedy pisze „Mam dwadzieścia lat". Dlatego książka ta prócz wyżej wymienionych wartości — staje się również okrzykiem buntu, sprzeciwem młodego pokolenia amerykańskiego wobec wojny rzucającej na szalę miliony istnień ludzkich niszczącej najlepsze lata człowieka.

Nie inaczej przedstawia Amerykę angielski pisarz James Hadley Chase w książce pod tytułem „Ewa". Clive Thurston — bohater „Ewy" — jest typowym przedstawicielem „wielu mężczyzn amerykańskiego stulecia". Kobiety pieniądze i sława za wszelką cenę — ideały, którym niełatwo sprostać uczciwością i rzetelną pracą. Dlatego aby uzyskać je, trzeba uciekać się do nieczystych posunięć, do wyelimowania pojęć moralnych. Clive Thurton korzysta z nich w pełni i powoli stacza się na dno upadku. Historia ta dzieje się w mieście znanym z wielkich skandali i afer — w Hollywood, świętym mieście filmu. Chase pokazuje z całą bezwzględnością życie, jednego z wielu, człowieka, którego fala przypadku wyniosła na pierwsze miejsca w hierarchii literackiej Ameryki człowieka bez charakteru i poczucia godności. Angielskie zamiłowanie do precyzyjności pozwoliło autorowi wniknąć do najtajniejszych dróg psychicznych „rodaków zza morza". Książka Chase'a jest satyrą przeciw przypadkowi, królującemu w Ameryce przeciw bożyszczom lansowanym na eksport i służącym na wewnętrzny użytek Stanom Zjednoczonym przeciw etyce obywatela, wychowanego na „niczym".

Książkę Chase'a można porównać z „Kariera Nikodema Dyzmy-Dołęgi Mostowicza" i tylko taką miarą należy ją oceniać. Nie jest to bowiem literatura którą Anglia mogłaby się chlubić na rynku literackim Europy, nie mniej jednak stanowi ona jeszcze jeden dokument epoki amerykańskiej. Przede wszystkim zaś jest interesująca, czyta się ją jednym tchem i mocno angażuje uczuciowo w losach postaci. Tłumaczenia dokonał Juliusz Kydryński.

Kwestie moralne, zagadnienia społeczne, intelektualizm — oto co brakuje człowiekowi amerykańskiemu. Z kart powieści amerykańskich i dzieł o Ameryce bije dzwon na alarm na alarm który musi rozbudzić miliony zagubionych ludzi pomiędzy elektrycznym piecykiem a jeszcze jedną najnowocześniejszą konstrukcją stalową unoszącą się z łatwością w powietrzu.

Tadeusz Kwiatkowski.

*) Harry Reasoner „Mam 20 lat". Wydawnictwo „AWIR" Katowice, 1947, str. 188.

*) James Hadley Chase — „Ewa" — Wydawnictwo „AWIR" Katowice, 1947, str. 261.

Tłum. MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

ba podświadoma intuicja ostrzegła mnie przed zagrażającym niebezpieczeństwem. Zsunęłam się w fotel i nie tracąc czasu, by zapalić świecę, — zresztą nie było to wcale potrzebne, bo blada księżycowa smuga przecinała pokój — przetoczyłam fotel do drzwi i obróciłam klamkę.

— Kto tam? — szepnęłam.

Nikt się nie odezwał. Podjechawszy do podestu schodów, spojrzałam w głąb klatki schodowej i zobaczyłam czarną postać, przykucniętą przy ścianie. Światło księżyca lśniło w obnażonej szpadzie, którą trzymał w ręce. Stał w samych pończochach, rękawy od koszuli miał zawinięte powyżej łokci. Był to mój brat, Robin. Żądza mordu płonęła w jego oczach.

Idź spać, Robin — rzekłam — albo lepiej chodź i posiedź ze mną w moim pokoju. Porozmawiamy chwilkę spokojnie.

— Nie — odparł. — Moja chwila nadeszła! Teraz na pewno złapię ich razem. Jeśli będziesz mi stawała na przeszkodzie, to i tobie zrobię co złego!

Minąwszy mój fotel, przebiegł przez podest.

— Na miłość boską! Robin! Nie wchodź do tego pokoju! Porozmawiaj z nimi rano, jeśli już koniecznie musisz, ale nie teraz, nie o tej porze!

W odpowiedzi przekręcił klamkę. Na ustach jego błąkał się uśmiech, zarazem straszny i dziwny.

A potem nagle rozdarł nocną ciszę ów dźwięk, na który czekałam z zapartym tchem, przenikliwy, ostry, wstrząsający przerażeniem krzyk kobiety.

* * *

Przed podest schodów, przez pusty pokój Ambrożego Manatona, ku sypialni Gartred, leżącej za tym pokojem posuwały się koła mojego fotela, straszliwie powoli, pomimo całego mojego wysiłku. Przez cały ten czas wołałam wciąż: „Ryszardzie! Ryszardzie!"

Och, Boże! Ten straszny pojedynek tam, w świetle księżyca, które lało się w nieprzysłonięte okna i widok Gartred, uczepionej zasłony przy łóżku, ze szkarłatną szramą, biegnącą wpoprzek przez twarz!... Ambroży Manaton w jedwabnej nocnej koszuli, popalonej krwią, gołymi rękami odpierał dzikie ciosy, które mu wymierzał Robin, aż wreszcie, z rozpaczliwym okrzykiem porwał szpadę, która leżała obok na krześle, wśród rzuconych tam jego ubrań. Bose stopy walczących mężczyzn klaskały o deski podłogi, oddech ich stał się krótki i urywany, wyglądali obaj, jak zjawy ze złego snu; miotali się dziko, zadając sobie straszliwe ciosy, to oblani światłem księżyca, to przysłonięci głębokim cieniem. Ani jedno słowo nie padło.

— Ryszardzie! — Zawołałam jeszcze raz, bo oto tutaj, przed mymi oczyma dokonywała się zbrodnia! Dwaj mężczyźni nawzajem usiłowali zadać sobie śmierć, między mną, a łożem, na którym kuliła się Gartred, zasłaniając rękami twarz. Krew ciekła jej spomiędzy palców.

Zjawił się nareszcie, napół rozebrany, ze szpadą w ręce.

— Dość tego, głupcy zatraceni! — krzyknął, roztrącając walczących. Swą szpadą błyskawicznie odparował ich ciosy. W następnej chwili trzymał już mocno Robina, którego ręka, przetrącona w garstku, zwisała bezwładnie, zaś Ambroży Manaton przecknął się dopiero pod przeciwległą ścianą.

Robin, ujrzawszy twarz Gartred, otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie zdołał wyrzec ani słowa. Drżał, nie mogąc się ruszyć, ani przemówić. Ryszard popchnął go na fotel i przytrzymał tam w pozycji siedzącej.

— Zawołaj Matty — rzekł do mnie szybko. — Każ jej przynieść wody i bandaży...

Ach, te wszystkie ubrania, porozrzucane po podłodze! Manaton badał rany, które otrzymał w pojedynku, jasne, gładkie loki pozlepiane miał potem. Robin, z twarzą ukrytą w dłoniach usuwał się coraz niżej w fotel. Namiętność opadła z niego całkowicie. Ryszard stanął przy nim w posępnym zamyśleniu. Nagle wszyscy spojrzeliśmy na Gartred, skuloną na łóżku. Na twarzy jej widniała wielka rana, biegnąca od prawej brwi, aż po sam podbródek.

Wtedy dopiero zobaczyłam i Dicka. Twarz miał popielatą, oczy wytrzeszczone przerażeniem. A kiedy krew, przemoczywszy białe płótno bandaża pociekła na ręce Matty, Dick nagle zachwiał się i upadł.

— Jaki ma puls? Czy dużo krwi straciła? — spytał Ryszard.

— Teraz ma się już nie najgorzej, Sir Ryszardzie. Bandaże są mocne. Sen i wypoczynek potrafią zdziałać cuda w ciągu jednej nocy. Poniosła szwank właściwie tylko jej uroda. — Usta Matty drgnęły w znany mi sposób, tak, że się musiałam zastanowić, ile prawdy zdołała się domyślić.

Ambroży Manaton nie patrzył w stronę łóżka. Kobieta, leżąca na nim równie dobrze mogła być kimś zupełnie obcym. Wszystko było między nimi skończone. Gartred nigdy nie zostanie żoną Manatona i panią na Trecarrel.

Godziny mijały. Niespodzianie przyszedł mi na myśl Dick, który sam jeden spał w gotowalni, przy legającej do mego pokoju. Biedny chłopiec! Zemdlał na widok krwi, jak dawniej. Czy leżał teraz słaby, tak, jak i ja, przechowując na dnie duszy pamięć swego wstydu? Wydawało mi się, że słyszałam, jak się tam ruszał i zastanowiłam się, czy sny dręczyły go tak, jak i mnie i czy przypadkiem nie pragnął czyjegoś towarzystwa.

— Dick! — zawołałam półgłosem, potem jeszcze raz: — Dick! — ale nikt się nie odezwał. Za chwilę przeciąg, który się szamotał z klamką drzwi nareszcie ją pokonał i zaczęły chodzić tam i na powrót, trzaskając co raz, jak niedomknięta okiennica. Musiał spać twardo, skoro go to nie zbudziło!

Księżyc zaszedł i brzask się już zakradł do pokoju, a nasze drzwi wciąż skrzypiały i zamykały się i znowu skrzypiały, stwarzając dokuczliwy akompaniament dla moich przykrych majaczeń.

Doprowadzona do ostateczności, przeniosłam się nareszcie w fotel, by je zamknąć. A kiedy chwytałam ręką klamkę, spostrzegłam przez szczelinę w drzwiach, że łóżko Dicka jest puste. Nie było go w pokoju...

Piątek, dzień dwunasty maja. Poczucie pewnej delikatności kazało mi się trzymać z dala od pokoju Gartred. Miałyśmy odtąd być sobie równe: ona, zeszpecona straszliwie i ja, kaleka; nie śpieszno mi było ustanawiać naocznie ten nasz nowy stosunek. Posłałam do niej Matty, by się dowiedziała, czego jej potrzeba, a potem zostawiłam ją własnym rozmyślaniom. W krużganku spotkałam Robina, który ze smutną miną stał koło okna. Prawą rękę miał na temblaku. Usłyszawszy, że się zbliżam, zwrócił ku mnie głowę, a potem znowu, milcząc, skierował wzrok w inną stronę.

— Boli cię ręka? — spytałam cicho.

Potrząsnął głową przecząco, nie przestając patrzeć w okno.

— Gdy się skończy to całe zamieszanie i już będzie nareszcie spokój, będziemy sobie razem prowadzili gospodarstwo, ty i ja, tak, jak kiedyś w Lanrest.

Wciąż nic nie odpowiadał, ale zobaczyłam, że łzy mu napłynęły do oczu.

— Dość już długo kochaliśmy Grenvile'ów, każde na swój sposób. Przyszła teraz chwila, kiedy się muszą nauczyć żyć bez nas — powiedziałam.

Nieco później Ryszard i ja usłyszeliśmy z krużganku, że Robin dosiadł konia i odjechał. Godziny mijały. Zegar na wieży wybił dwunastą, potem pierwszą. Z parku dobiegł nas odgłos końskiego cwału. Odgłos ten zbliżał się coraz to bardziej, zmierzał wyraźnie ku domowi, my zaś nadsłuchiwaliśmy w oczekiwaniu pełnym napięcia. Koń i jeździec przemknęli pod łukiem bramy i oto ujrzeliśmy jeźdźca, pokrytego kurzem, ze zmierzwionym włosem. Rzucił cugle zdumionemu chłopcu stajennemu i pobiegł wprost do krużganku.

— Na miłość boską! Uciekajcie! Zdrada! Zdrada! — zawołał. — Złapali wszystkich: Trelawney'a z synem, Karola Trevannion, Artura Basett i wszystkich innych! Dziś o dziesiątej rano przyjechał konno do dworu Szeryf, Sir Thomas Herle z całą kompanią żołnierzy. Otworzyliśmy ogień, ale było ich ponad trzydziestu. Skoczyłem z piętra i dzięki Opatrzności udało mi się uciec, tylko sobie kostkę zwichnąłem. Dosiadłem pierwszego lepszego konia i gnałem go bez miłosierdzia. Tylko dzięki temu, że znam tutejsze ścieżki, jak własną kieszeń, udało mi się zdążyć tu na czas. Wszędzie już jest wojsko!

(Dokończenie nastąpi)

Wśród czasopism

W czeskiej prasie literackiej polonica nie należą do rzadkości. Jest ich znacznie więcej u nas śladów literackich zainteresowań Czechosłowacją. Od czasu wizyty pisarzy czeskich i słowackich w połowie ubiegłego roku dałoby się w naszej prasie literackiej odnaleźć kilka zaledwie poważniejszych pozycji na tematy czeskie i słowackie. W Czechosłowacji natomiast o Polsce i polskiej literaturze pisze się niemal bez przerwy. Wystarczy jeden przykład: po notatkach słowiańskich Marii Pujmanovej w tych dniach wyszła pięknie wydana książka drugiego uczestnika owej literackiej wyprawy do Polski, dra A. C. Nora, bardzo poczytnego i popularnego powieściopisarza, który wkrótce zadebiutuje na rynku polskim przekładem swojej wydanej już dziesięciokrotnie i hojnie tłumaczonej na inne języki powieści „Bürkental" (polski tytuł „Wieś na pograniczu"). Książka książką, ale warto zwrócić uwagę na to, że wszystkie jej rozdziały były drukowane przed wydaniem książkowym w prasie czeskiej i wygłaszane przed mikrofonem rozgłośni Praga II oraz Ostrava. Jest tego 35 pozycji, to znaczy tyle, ile chyba w naszej prasie literackiej nie ukazało się w ostatnim półroczu w ogóle na temat Czech.

Myślę, że chyba można nazwać karygodnym niedbalstwem fakt, że nie mamy w Polsce dotychczas ani jednej księgarni z sortymentem książek czeskich, że mając możność kupowania wszystkich najpoważniejszych czasopism angielskich, amerykańskich, francuskich, nie możemy równie łatwo otrzymać prasy czeskiej. Korzystamy tylko z egzemplarzy redakcyjnych wymiennych i z uprzejmości naszych czeskich kolegów, którzy wyjednali nam w niektórych redakcjach dostarczanie egzemplarzy bezpłatnych. Sprawa ta domaga się szybkiego i sprawnego rozwiązania. Warto przypomnieć, że Praga ma już polską księgarnię „Czytelnika", że np. w Brnie można otrzymać w niewielkiej księgarence wszystkie polskie pisma literackie.

Z *Nowin Literackich* dowiedziałem się, że czeski miesięcznik literacki *Doba* wydał podwójny numer polski. Podana *w Nowinach* treść tego numeru nie zachwyca jednak. Poezję reprezentują w nim tylko Przyboś, Hołuj, Putrament i Włodek. To chyba trochę za mało. Ktoś bardziej pedantyczny powiedziałby może, że grubo za mało, skoro nie znalazło się miejsce dla Tuwima (którego pięknie przekłada Adolf Hoffmeister), Jastruna, Gałczyńskiego, Miłosza, Iwaszkiewicza, skoro zapomniano o Staffie. Proza w tym numerze, to Nałkowska, Andrzejewski, Gojawiczyńska i Szmaglewska. Numer zredagowali Jan Pilarz i Helena Teigová i powiedzmy sobie, że zrobili to dosyć prywatnie, według swoich własnych zaintersowań przekładowych, dając czytelnikowi czeskiemu obraz literatury polskiej dosyć jednostronny i niekompletny. Być może, że braki te wyrównuje artykuł znanego czeskiego polonisty Karola Krejczi'ego o „Nowej rzeczywistości w literaturze polskiej".

W tymże samym numerze *Nowin Literackich* wyczytałem, że prasa czeska „bardzo przychylnie" przyjęła „Obronę Ksantypy" Morstina wystawioną w grudniu w Pradze z Olgą Scheinpflugową w roli głównej. Notatka ta trochę mnie zdziwiła. Byłem bowiem w Czechosłowacji w czasie, gdy ukazały się pierwsze recenzje ze sztuki Morstina i stwierdziłem, że przyjęcie było raczej chłodnawe. Powiewało z tych wypowiedzi jakimś lekkim rozczarowaniem.

Niedawno wskrzeszone zostało katolickie pismo literackie redagowane w Brnie przez poetę Jana Zahradniczka Akord. Numer 3/4 tego pisma poświęcony jest w dużej mierze poezji polskiej, przy czym redakcja dobrała sobie przede wszystkim poetów katolickich. W dostojnym tym gronie znalazł się także Jalu Kurek. Tę część polską otwierają cztery przekłady Norwida (Do Emira Abd-el-Kadera, Pióro, Moja piosenka, Klaskaniem mając obrzękłe prawice). Trudnych tych przekładów dokonali nie bez powodzenia O. F. Babler i Jan Zahradniczek. W przekładzie J. Suchego drukowane są dwa wiersze Wojciecha Bąka, najwięcej przekładów dał jednak zasłużony tłumacz polskich poetów Adolf Gajdosz. Są to wiersze Jerzego Brauna, Feliksa Konopki, Jalu Kurka, Jerzego Zagórskiego i Wojciecha Żukrowskiego. Wiersze Norwida opatrzone są komentarzem. O innych poetach informacji brak, ale by się jednak przydała chociaż już ze względu na klucz ich doboru.

Ósmy numer najlepszego czeskiego pisma teatralnego *Divadelni Zápisnik* przynosi obszerny artykuł o teatrach polskich pióra Heleny Holikovej. Autorka omawia sezon teatralny 1946/47, który oglądała już na samym schyłku. Artykuł ilustrowany jest sześcioma dużymi zdjęciami, które stanowią znaczną większość materiału ilustracyjnego w tym numerze. Autorka stwierdza przede wszystkim decentralizację życia teatralnego w Polsce w przeciwieństwie do Czech, gdzie wszystko, co ma teatr czeski najlepszego, skupia się w Pradze. Po kolei informuje o teatrach Galla, Szyfmana, Schillera, Dąbrowskiego w Krakowie, Chaberskiego w Poznaniu i króciutko o kilku pozostałych. Najwięcej miejsca poświęca konkursowi szekspirowskiemu. Pisze o naszych teatrach z uznaniem, ale i krytycznie. Stwierdza np. że nie umiemy grać Shawa, Szekspir jednak bardzo się jej podoba. Osobny ustęp poświęca operom, nie widziała jednak opery śląskiej. Operze poznańskiej dostało się za aktualizację kwestii dyrektora cyrku wędrownego w „Sprzedanej narzeczonej".

Inne polonica mają swe źródło w niedawnej wizycie literatów z Katowic i Wrocławia na Śląsku czeskim i w Brnie. „Czeskoslovenska demokrace" wychodząca w Ostrawie dała zredagowaną przez Milana Rusińskiego kolumnę polską z przekładami Morcinka, Żukrowskiego i Szewczyka, dokonanymi przez D. Gawreckiego. Tygodnik *Obzory* cytował obszernie wypowiedzi literatów drukowane w „Odrze", uzupełniając je komentarzem politycznym w swoim guście, przy czym z wypowiedziami tymi nie bardzo się wiążącym. Obszernie o wizycie tej pisał również tygodnik opawski „Hraniczarz" reprodukując karykatury gości wykonane przez art.-malarza A. Tomka. Trochę tam pokręcono z informacjami, wskutek czego literat, który nie splamił się napisaniem ani jednego wiersza, urósł na jednego z największych współczesnych poetów polskich, ale najcenniejsze jest zakończenie: „tego wieczoru, drodzy bracia z Polski, my, Opawianie, nigdy nie zapomnimy. Im częstsze będą nasze wzajemne kontakty, tym dojrzalszy i pewniejszy związek powstanie między naszymi narodami".

Tyle na tematy polsko-czeskie. Teraz trochę z rodzimego podwórka. Niedawno Kisiel poświęcił cały felieton p. Zofii Lissa, która dotknięta krytyką jej artykułów na tematy muzyczne, miała gdzieś oświadczyć, że Kisiel zostanie wkrótce „wykończony". Chętnie się dziś tym słówkiem różne ugodzone boleśnie rzekome wielkości i ważniaki posługują. M. in. analogiczną relację, co Kisiel otrzymał i piszący te słowa od życzliwej osoby, która podobno słyszała, że mam być „wykończony" za rżniętkę, jaką od czasu do czasu sprawiłem niezwykle cennemu wydawnictwu „Co tydzień powieść". Jak czytelnicy widzą, przestraszyłem się i od tego czasu nie napisałem marnego słowa o tej instytucji, popularyzującej literaturę wśród szerokich mas. Zresztą nie było to potrzebne. Wyręczała mię kilkakrotnie *Kuźnica*. Może jej wreszcie uwierzą. Mnie by nie uwierzyli. Dlatego też specjalną, zwielokrotnioną satysfakcję dał mi numer *Kuźnicy* z dnia 1 lutego. Nosił wilk, ponieśli i wilka. Kochanej redakcji „Co tydzień powieść" oberwało się solidnie z taką konkluzją na temat jednego ze specjalnie niefortunnych numerów: (ów numer) „to osiemdziesiąt tysięcy zastrzyków reakcyjnej trucizny, udzielonych ludziom, którzy sobie tej trucizny ani nie życzyli, ani nie spodziewali". Przypuszczać należy, że wydawcy zechcą po tym ataku zrewidować swój stosunek do swego beniaminka. Być może, że skłoni ich do tego także interesująco zapowiadająca się konkurencja — czytelnikowska „Biblioteka powieści i romansów", której pierwszy zeszyt już się ukazał w kioskach. Ile dobrego dla literatury mogła zrobić „Co tydzień powieść" za półtora roku swego istnienia, gdyby ją prowadzono z myślą o wychowaniu nowego czytelnika i z myślą o sprawie kultury polskiej? Ale już kończę pełen obaw, by nie podzielić losu Kisiela.

(ki)

Na fali 19,43

W Związku Radzieckim ludzie sztuki nie przywykli — jak to się często praktykuje u nas — do urządzania konferencji i posiedzeń, z których „nic nie wychodzi". Czas uczonego, artysty, pisarza czy też kierownika jakiejś instytucji o charakterze kulturalnym jest bardzo cenny, nikt nie ma ochoty na bezproduktywne tracenie go.

W lutym bieżącego roku odbędzie się w leningradzkiej Akademii Sztuk Pięknych ZSRR konferencja z racji stulecia urodzin wybitnego malarza rosyjskiego Surikowa. W grudniu miała w Akademii miejsce naukowa konferencja, poświęcona omówieniu i przedyskutowaniu dorobku radzieckich artystów-plastyków w okresie trzydziestolecia władzy radzieckiej. W listopadzie ub. roku otwarto pierwszą sesję Akademii Sztuk Pięknych. Obrady trwały kilka dni. Interesujący referat wygłosił znany artysta-rzeźbiarz Manizer.

Wynikiem dwóch poprzednich konferencji jest przyjęta przez wszystkich uczestników obrad uchwała, mocą której zorganizuje się przy Akademii Instytut Teorii i Historii Sztuk Plastycznych, oraz wybuduje ogromne pracownie rzeźby monumentalnej i malarstwa batalistycznego. Do realizacji już przystąpiono. W wyniku konferencji, która odbędzie się w lutym, dowiemy się o postępie prac.

Prezesem Akademii Sztuk Pięknych ZSRR jest Aleksander Gerasimow.

Przy sposobności warto zanotować, że w Moskwie w grudniu ub. roku odbyła się również konferencja Komitetu Rady Ministrów ZSRR dla Spraw Sztuki, poświęcona zagadnieniom teatru radzieckiego i osiągnięciom sztuki teatralnej w okresie trzydziestolecia. W obradach wzięli udział członkowie Wszechrosyjskiego Towarzystwa Teatralnego.

Niezwykle cenną kolekcję starożytnych zbroi rycerskich, broni i obrazów odnalazła specjalna komisja (złożona z naukowców i znawców sztuki) w radzieckiej strefie okupacyjnej. Eksponaty te, zrabowane przez Niemców z Muzeum Nowogrodzkiego z polecenia takiego „konesera" jak Hermann Goering, przewieziono do Nowogrodu wraz z cennym zbiorem ikon, pochodzących z Soboru Sofijskiego w Kijowie.

Mniej więcej w tym samym czasie odkryto w starej rosyjskiej wiosce Kidoksza, w znajdującej się tam cerkwi ornamenty bizantyjskie z XII wieku oraz doskonale zachowane obrazy, pochodzące również z XII wieku. Na jednym z nich jest przedstawiona córka księcia Dołgorukiego (założyciela Moskwy) oraz księżna Eufrozyna Dołgoruka, jego żona.

Odrkycia tego dokonali studenci moskiewskiego Instytutu Architektury w trakcie badań zabytków architektonicznych w rejonie władimirowskim.

Sergiej Gierasimow: Matka partyzanta

W Moskwie cieszyła się ogromnym powodzeniem wystawa dziecięcych rysunków. Jest to druga tego rodzaju wystawa, na którą zgromadzono prace na zasadzie „olimpijskiego współzawodnictwa", polegającego na urządzaniu wystaw w poszczególnych miejscowościach, wybieraniu z nich najlepszych prac i przesyłaniu na wystawy rejonowe, następnie kolejno obwodowe, krajowe i republikańskie. Z wystaw republikańskich wybrano najlepsze rysunki i przesłano w ilości kilku tysięcy na ogólnozwiązkową wystawę rysunków dziecięcych w Moskwie.

Autorami rysunków są dzieci, które nie przekroczyły piętnastego roku życia.

Z otwartych ostatnio wystaw w Moskwie, należałoby jeszcze wymienić zorganizowaną w Państwowym Muzeum Historycznym wystawę „Moskwa w wiekach XVIII — XX". Rozwój Moskwy przedstawiony jest w szeregu obrazów, szkiców, płaskorzeźb, tkanin i in. Wystawę otwarto dla uczczenia obchodu osiemsetlecia Moskwy.

Nasza prasa codzienna pominęła milczeniem wielki koncert muzyki polskiej, jaki odbył się w Kijowie. Na urozmaicony i zdaniem krytyków udany koncert, złożyły się utwory Szopena, Wieniawskiego, Żeleńskiego i Noskowskiego.

Koncert zorganizowało Ukraińskie Towarzystwo Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. **aw.**

Kronika jugosłowiańska

Kolportaż książki — Ze Związku Stowarzyszeń Literatów Jugosławii — Wykopaliska.

● Zastanowiano się u nas nieraz w prasie nad sposobami dotarcia z książką w odległe kąty kraju. „Nakladni Zavod Hrvatske" (Zakład Wydawniczy Chorwacji) problem ten rozwiązał już praktycznie. Głównym środkiem jest specjalny pociąg złożony z 4 wagonów, z czego pierwszy, pomalowany na niebiesko, mieści w sobie księgarnię i wystawę książki, aparaturę filmową i megafon. W drugim wagonie jest sypialnia dla obsługi, kuchnia i spiżarnia, tudzież magazyn książek. Trzeci wagon stanowi ambulatorium dentystyczne wraz z wystawą zdrowotną Czerwonego Krzyża, a w czwartym znajduje się wystawa i ambulatorium weterynaryjne, w którym pracuje również i agronom. Pociąg kursuje według ustalonego z góry planu i zatrzymuje się na najmniejszych nawet stacjach. Księgarnia sprzedaje książki i czasopisma, przyjmuje zamówienia, daje przedstawienia filmowe, urządza odczyty, udziela informacji i wskazówek. Dentysta, weterynarz i agronom udzielają porad i pomocy w zakresie swoich specjalności. Według relacji z pierwszego objazdu najwięcej pociągały ludność owe dwa ambulatoria, a przy sposobności rodziło się zainteresowanie także i dla książek, sprzedawanych zresztą w bardzo dużych ilościach. Np. w tak małej mieścinie ,jak Naszice w Slawonii, sprzedano w ciągu dwóch dni za 42.000 din., w tym cztery całe biblioteczki typizowane. Pociąg ten obsługuje nie tylko samą Chorwację, lecz także i Wojwodine, oraz Bośnię, ale tylko na linii Brczko — Banowici — Banja Luka i Sarajewo — Szamac, jedynej linii normalnotorowej, zbudowanej w dwu ostatnich latach przez młodzież jugosłowiańską. Miejscowości położone z dala od linii kolejowych normalnotorowych obsługuje olbrzymi samochód ciężarowy, mieszczący księgarnię i aparaturę filmową tak do wyświetlania, jak i filmowania. Ale Jugosławia posiada wiele setek kilometrów skalistego i poszarpanego wybrzeża morskiego i mnóstwo wysp. Aby dotrzeć do miejscowości nadmorskich niedostępnych dla kolei i samochodu, przygotowano specjalny statek motorowy z księgarnią, magazynem książek i aparaturą kinową. Odwiedza on nawet takie osiedla, do których inne statki prawie nigdy nie zawijają. Dzięki tym trzem środkom lokomocji zbyt książki niepomiernie się powiększył.

● Pod koniec listopada odbyło się w Belgradzie 2-dniowe plenarne posiedzenie zarządu Związku Stowarzyszeń Literatów Jugosławii przy udziale prezesów i sekretarzy poszczególnych Stow. ze wszystkich republik, tudzież redaktorów wszystkich czasopism literackich: Knjiżewnost, Republika, Mladost, Nowi swet, Pregled, Now den, Staranje i Letopis Matice Srpske. Po dyskusji nad referatami i koreferatami uchwalono kilka rezolucji. M. in. zalecono wszystkim członkom jak najszerszy udział w wieczorach i porankach literackich innych republik jugosłowiańskich, a czasopismom zamieszczanie utworów, bibliografii i recenzji o dziełach nie tylko z terenu własnej republiki — a to w celu ożywienia i jak najściślejszej współpracy kulturalnej między poszczególnymi narodami Jugosławii; wezwano członków do wzmożenia działalności twórczej i jak najwyższego udziału w życiu kulturalnym i upowszechnianiu kultury wśród szerokich mas; postanowiono dążyć do podniesienia poziomu istniejących czasopism i ich pomnożenia; sam Związek ma w najbliższym czasie przystąpić do wydawania dwutygodnika literackiego; nakazano zarządom poszczególnych stowarzyszeń jak najdalej idącą i ciągłą troskę o warunki materialne członków rzeczywistych i kandydatów; szczególną opieką nakazano otaczać pisarzy młodych, kandydatów i początkujących, urządzać z nimi konferencje i spotkania, we wszystkich czasopismach udzielać im o ile możności więcej miejsca, a w przyszłym roku Związek wyda księgę zbiorową utworów młodych pisarzy. Postanowiono wreszcie utworzyć przy zarządzie Związku specjalną komisję zagraniczną dla utrzymywania kontaktu z organizacjami literackimi i twórczością innych narodów, zwłaszcza słowiańskich.

● Stefan Wukowić podjął na nowo dokładne i systematyczne poszukiwania i badania wielkiej groty Windija (50 km na płn. od Zagrzebia), w której już przed 50 laty odkryto bogate znaleziska resztek kultury rzymskiej i nieco kości zwierząt przedpotopowych. Pierwsze badania przeprowadzili powierzchownie przed kilkudziesięciu laty profesorzy z Zagrzebia i Grazu. Dopiero na parę lat przed wojną zaczął ją dokładnie przeszukiwać Wukowić, który poprzednio przetrząsnął kilka jaskiń, w jakie okolica ta obfituje, a między nimi i słynną Krapinę, gdzie przed stu laty znaleziono czaszkę i kości praczłowieka. Już przy pierwszych rozkopywaniach, prowadzonych obecnie, okazało się, że i ta jaskinia zawiera znaleziska głównie ze starszej i młodszej epoki kamiennej, z którymi pomieszane są mniej liczne resztki z okresu kultury rzymskiej. Prócz wielu kamiennych okazów broni i narzędzi znaleziono mnóstwo kości jaskiniowych dzikich zwierząt, jak niedźwiedź i nosorożec. Poszukiwania i badania nie zostały jeszcze ukończone, jednak już dotychczasowe rezultaty stanowią sensację naukową.

● Drugą sensacją dla prehistoryków są prace wykopaliskowe prowadzone przez Koroszca, prof. Uniwersytetu Lublańskiego, na terenie Słowenii w Ptuju. Jeszcze w 1907 r. zaczęli tu kopać Niemcy i rozkopali około 80 grobów przedhistorycznych o typowych cechach słowiańskich. Wobec tezy jednak, że cała Styria to prastara ziemia niemiecka, nie było im to na rękę. Nie dopuszczając uczonych słowiańskich, groby pozasypywali, a wydobyte z nich przedmioty określili jako pozostałości po Hunnach i Germanach. Prace wykopaliskowe prowadzone teraz pod kierunkiem prof. Koroszca doprowadziły do odkrycia ponad 260 grobów z niezwykle bogatą zawartością, wskazującą na niewątpliwie słowiańskie pochodzenie, przejawiające się w sposobie grzebania zmarłych i charakterystycznych cechach znalezionych w grobach ozdób z brązu.

Wiktor Bazielich

Kronika kulturalna Katowic

od 12. I. — 18. I. 1948 r.

ŻYCIE LITERACKIE:

12. 1. 48. W ramach cotygodniowych imprez Klubu Literackiego odbyła się prelekcja Wilhelma Szewczyka, „Problemy w powojennej literaturze niemieckiej".

KONCERTY:

16. 1. 48. W sali Państwowej Filharmonii koncertował Bolesław Woytowicz. Na program recitalu fortepianowego złożyły się dzieła Fr. Liszta.

PLASTYKA:

18. 1. 48. W salonie wystawowym Artystów Plastyków otwarto wystawę grafiki czesko-słowackiej.

TEATR:

18. 1. W teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach odbył się gościnny występ teatru im. Słowackiego w Krakowie ze sztuką Gogola, p. t. „Rewizor". Udział wzięli: Jan Kurnakowicz, Jerzy Leszczyński, Jan Warnecki i inni.

od 19. I. do 25. I. 48

ŻYCIE LITERACKIE:

W ramach cotygodniowych imprez Klubu Literackiego odbył się w Sali Instytutu Śląskiego wieczór autorski Włodzimierza Żelechowskiego.

KONCERTY:

23. 1. 48. W sali Filharmonii odbył się koncert symfoniczny w wykonaniu orkiestry Państwowej Filharmonii. Dyrygował Witold Krzemieński. W programie utwory Smetany, Rowickiego, i Kalinnikowa.

24. 1. 48. W Domu Kultury Związków Zawodowych odbyła się impreza koncertowa p. t. „Nasz koncert" w którym udział wzięli: orkiestra symfoniczna i zespół taneczny huty Pokój oraz chór męski „Echo z Katowic" i chór chłopięcy D. O. K. Z. Z. Jako solista wystąpił Tadeusz Kostulski. tenor.

TEATR:

20. 1. 48. W sali Filharmonii, Związek Artystów Żydowskich (dolnośląskich) wystawił komedię Pereca Hirszbajna pt. „Zielone pola".

24. 1. 48 W teatrze Tur teatr szkoły powszechnej nr 40 w Krakowie wystąpił gościnnie z widowiskiem „Misterium Bożego Narodzenia".

ODCZYTY:

20. 1. 48. W sali Instytutu Śląskiego Dr. Kazimierz Piwarski prof. U. J. wygłosił prelekcję pt. „Przełomowe momenty w dziejach Czech".

23. 1. 48. W Domu Kultury Zw. Zaw., z inicjatywy Tow. Przyjaźni pol.-radzieckiej odbył się odczyt pt. „Lenin, twórca władzy radzieckiej".

26. I — I. II. 1948.

ODCZYTY:

26. I. W ramach cotygodniowych imprez Klubu Literackiego w Katowicach, odbył się w sali Instytutu Śląskiego przy ul. Warszawskiej 137 „Wieczór Autorski" Zenona Wiktorczyka.

30. I. W ramach cyklu wykładów Pol. Tow. Geograficznego o Ziemiach Odzyskanych odbył się w sali Instytutu Śląskiego odczyt (połączony z wyświetleniem przeźroczy) dr. Antoniego Wrzoska pt. „Piękno Ziem Odzyskanych".

NOWOŚĆ

LEOPOLD TYRMAND

„HOTEL ANSGAR"

stron 184 zł 380,—

...serce we mnie zamarło. Leżałem bez ruchu, zamieniony w słuch...

KSIĘGARNIA ZDZISŁAW GUSTOWSKI Poznań, Wielka 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach. (53)

KONCERTY:

27. I. Komitet uczestniczenia 3-ciej rocznicy oswobodzenia Katowic, zorganizował wielki koncert popularny, w którym udział wzięli: Orkiestra symfoniczna Państwowej Filharmonii pod dyrekcją Witolda Krzemieńskiego, chóry mieszane „Ogniwo" i Z. Z. K. oraz prof. Dworakowski (skrzypce), Andrzej Hiolski (baryton) i J.Prutkowski (recytacje).

28. I. W sali Filharmonii wystąpił z recitalem pożegnalnym. pianista Tadeusz Żmudziński. W programie — Mozart, Brahms, Chopin, Szymanowski i Bukowski.

31. I. W sali Filharmonii, orkiestra symfoniczna koncertowała pod dyrekcją W. Krzemieńskiego dla świata pracy. W programie — Glinka, Noskowski. Borodin, Suppe, Mascagni, Poncielli. Konferansier: J. Prutkowski.

INNE IMPREZY:

29. I. Staraniem Koła młodzieżowego Tow. Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej przy Śląskich Zakładach Naukowych w Katowicach, odbył się „Wieczór Czechosłowacki".

2. II. — 8. II. 1948.

ŻYCIE LITERACKIE:

2. II. W ramach poniedziałkowych odczytów Klubu Literackiego przy Zawodowym Związku Literatów Polskich, Oddział śląski, odbył się w sali Instytutu Śląskiego „Wieczór Autorski" Jana Brzozy. Słowo wstępne wygłosił Aleksander Baumgardten.

8. II. W Domu Kultury Związków Zawodowych przy ul. Francuskiej 12., odbył się „Wieczor Autorski" Stefana Balickiego. Słowo wstępne wygłosił Aleksander Baumgardten.

ŻYCIE MUZYCZNE:

7. II. W sali Filharmonii odbył się koncert muzyki operetkowej pod dyrekcją Witolda Krzemieńskiego, przy współudziale Barbary Sawickiej (sopran). W programie Strauss, Suppe, Lehar.

Krótkie spięcia

Nie pieprz Pietrze...

Wiemy już, że na poetów domowych nie ma żadnej rady. Gorzej jest jednak, gdy taki poeta domowy ma pieniądze. Wówczas bowiem przestaje zasypywać redakcje pism swymi utworami, lecz zbiera te utwory do kupy i idzie do jakiejś drukarni i tam sypnąwszy forsą na stół mówi: „Proszę mi to wydrukować!" W tylu a tylu egzemplarzach. Drukarnia więc drukuje w tylu a tylu egzemplarzach i umieszcza na okładce sakramentalne słowa: „Nakładem autora".

Piotr Krzykalski jest właśnie takim domowym poetą. I własnym nakładcą. Co gorsza — własnym nakładcą recydywistą. Bo jego „tom poezji" pt. „Łzy znad brzegów Dunajca" posiada dopisek: „Nakład drugi powiększony" oraz oczywiście: „Nakładem autora w Nowym Sączu 1947."

Piotr Krzykalski jest nam naturalnie osobiście nieznany, ale zapewne jest porządnym człowiekiem, zachowującym się prawdopodobnie najzupełniej normalnie. Tylko, że cóż — Piotr Krzykalski ma jedną wadę. Pisze, niestety, wiersze i te wiersze — trzy razy niestety! — drukuje.

„Łzy znad brzegów Dunajca" są straszliwą grafomanią. Tym bardziej straszliwą, że ożywioną tzw. szlachetną tendencją. Bo o czym pisze Piotr Krzykalski? Pisze o martyrologii okupacyjnej. Pisze o upadku Polski, o Niemcach, o łapankach, o gestapo itd. — ale wszystko w stylu piosenek podwórzowych „O jednej Wiśniewskiej, co zabiła kochanka", nieporadnie, bzdurnie, okropnie, no i rzecz prosta, mimo woli — humorystycznie. Szlachetna tendencja Piotra Krzykalskiego nic tu nie pomaga, Piotr Krzykalski naszą martyrologię okupacyjną, chociaż tego nie zamierzał, po prostu ośmiesza i przypomina w swoich wierszowanych ględzeniach pijaka, wygłaszającego na cmentarzu w Dzień Zaduszny mowę na temat hodowli królików.

Z tego więc względu Piotr Krzykalski jest bardzo szkodliwy i powinien być tępiony. Tak jak bowiem nie każdemu wolno na cmentarzu przemawiać na widzimisiowskie tematy, tak samo też nie każdemu wolno pisać o męczeństwie narodu, choćby nawet nie wiedzieć jak bardzo tego pragnął.

Przejdźmy teraz do próbek twórczości Piotra Krzykalskiego. Jest tego taka masa, że właściwie człowiek nie wie, co ma wybrać. Każda bowiem zwrotka owych nieszczęsnych wierszy jest niemal wzorcowym modelem ponurej grafomanii, nieporadności językowej oraz, za przeproszeniem, tentegowania w bambus na sucho.

A zatem tak na chybił trafił, czyli proszę bardzo, proszę bardzo:

Z wiersza pt. „Opuszczone dziatki":

„Nasz Zwierzchnik, zamiast z wodzem na czele,
Bronić z honorem Matki-korony,
To umkli autem, by krew i gromy
Nie spoczły w bitwie na pulchnym ciele.
Tylko w popłochu nie patrząc w oczy,
Każdy z nich w auto ze złotem skoczył,
Zatrzasł drzwi za się, aż drgała Stolica,
I mknął w Rumunię jak błyskawica."

Cudne, prawda...? A zwłaszcza to „mknął w Rumunię".

Z wiersza pt. „Wspomnienia upadku Polski":

„Żywo przed oczyma widzę obraz smutku —
Klęczącej cyganki tuż pod krzyżem Pana,
W głos się pytającej z jakiego to skutku
Nasza Matka Polska została zabrana!"

Biedny jest ten Piotr Krzykalski... Nawet nie widzi różnicy pomiędzy przyczyną a skutkiem oraz tego, że mieszanie Cyganki z Matką Polską jest naprawdę idiotycznym galimatiasem.

Najbardziej rozpaczliwy jest jednak Piotr Krzykalski wtedy, gdy pisze o rzeczach do reszty smutnych i ponurych, jak na przykład o wyczynach gestapowskich. Oto obraz aresztowanego syna (wiersz „Z obiadem"):

„Podniósł swą rękę, by łzy ocierać,
Jak gdyby w oczach miał mi umierać,
Łzami pod stopą skraplał śnieg, ziemię,
Dźwigając w sercu boleści brzemię."

Brr — doprawdy chce się wyć!

Albo obraz eskorty gestapowskiej:

„Każdy z nich w rękach miał granat, em-pi,
By ciała więźniów nimi rozstrzępić
Chociaż szli cicho noga za nogą
Kajdany głośno dzwoniły drogą."

Wynika więc z tego, że gestapowcy byli okuci w kajdany, aczkolwiek Piotr Krzykalski chciał powiedzieć, że te kajdany dotyczyły więźniów. Cóż, kiedy mu nie wyszło.

Biedak, co robić — w ogóle nić mu nie wychodzi.

A teraz, dajmy na to barwny opis inwazji na zachodzie:

„Po nowiu księżyca, zaraz po północy,
Dnia szóstego czerwca, w piątym roku wojny,
Poczęli alianci wyrzucać jak z procy
Materiał śmiertelny, w plonie bardzo hojny.

Całymi stadami na zmianę, bez przerwy
Krążyły stalowe orliska przez morze,
Za nimi okręty, w nich żółwi rezerwy,
Co z paszczęk raz po raz pluć jęli w ląd zorzą."

Najgenialniejsze są te rezerwy żółwi, co „jęli pluć w ląd zorzą". Naprawdę człowiek by sto lat myślał, a czegoś takiego by nie wymyślił.

Z kolei coś z sielankowej liryki pt. „Praca w okopach":

„Zegnano ludzi z różnych stron,
Do robót przy okopach,
Ich berłem kilof, ziemia tron,
Gdy siedzą w próżnych szopach.
Zajęciem ich to bawić się
Rzucać na siebie gródki
Wzajemnie szepczą kocham cię
Twój buziak jest słodziutki."

Miam, miam...!

Następnie zaś mamy do czynienia z liryką patriotyczną pt. „Powstanie Warszawskie":

„Na słowo Wolność krew w żyłach zawrzała
Młodzież odwagę swoją pokazała,
Zapał jak płomień objął wszystkie ciała,
Jakie Ojczyzna jeszcze posiadała.
Pod i na czołgi szli ducha siłacze
Z granatem, cieczą niszcząc sprzęt i wroga,
Nim padli krzykli: „Dla cię Polsko droga."

Ach, dlaczego Piotr Krzykalski nie poszedł wtedy pod i na czołgi z cieczą...!

No i wreszcie coś z makabry, wyjętej z bardzo długiego poematu pt. „Kontyngent ludzi":

„W obecności mężczyzn na ogromnej sali,
Do ostatniej szaty pannom zdjąć kazali,
Następnie im wokół rozkazano biegać,
Popędzając batem, później na wznak legać.

Dla odmiany znowu jakieś tam ćwiczenia,
Musiały wypełniać wszystkie ich życzenia,
W trakcie tychże figur żądzą doń pałali,
Przy tym bili ciała grubym prętem z stali."

A potem, ponieważ bohaterka poematu tych „jakichś tam ćwiczeń" nie wytrzymała i popełniła samobójstwo, więc:

„Nim po jej zwłoki karetka przybyła,
Nim ją przygarnęła do siebie mogiła,
Anieli z niebiosów na Hankę jej ciało
Sypali kwiatami, aż w uszach szumiało."

Nam też aż w uszach szumi po tym wszystkim. Mało w uszach! Wszędzie, gdzie tylko może szumieć!

I pomyśleć, że na to dziełko (128 stronic!) i na dwa jego nakłady Piotr Krzykalski otrzymał papier (nota bene — welinowy), zezwolenie na druk, oraz przychylną adnotację Koła Związku b. Więźniów Politycznych w Nowym Sączu, wydrukowaną na okładce.

No cóż robić, cóż robić — może to się komuś rzeczywiście podoba...?

NIEJAKI X.

Petycja pokorna i żarliwa

Drogi „Czytelniku"!

Ujrzałem pierwszą książkę Klubu Literackiego „Odrodzenia" i ucieszyłem się nią bardzo. Ale widok jej sprawił równocześnie, że nie daje mi spokoju myśl, której rezultatem jest ten nieco osobliwy list.

Jak Ci zapewne, drogi „Czytelniku" wiadomo, z poezją polską po wojnie jest źle. Można powiedzieć, że nowej poezji niemal nie mamy. Tu i tam pojawia się jakiś talent, ale czyni to nieśmiało i jakby z zażenowaniem. Wydawcy nie interesują się poezją niemal zupełnie, pielęgnując w tym względzie swoje najmniej piękne tradycje. Nie ma kochanego Jakuba Mortkowicza, a ci, którzy przejęli jego chlubną serię „Pod znakiem poetów", po kilku tomikach przestraszyli się swojej odwagi. Słowem gorzki to w Polsce chleb — poezja. Zaczyna się wokół niej wytwarzać jakaś atmosfera niechęci, zimnej obojętności, lekceważenia a Gałczyński nawet nie pobił wydawcy za spaskudzenie mu jego wspaniałego, dwudziestoletniego dorobku, stanowiącego jedne z najpiękniejszych kart w dziejach naszej mowy wiązanej.

Jestem przekonany, że wiesz o tym wszystkim, drogi „Czytelniku" i dlatego z okazji ukazania się pierwszej książki Klubu „Odrodzenia" odważam się zwrócić do Ciebie z prośbą pokorną i żarliwą:

Załóż Klub Literacki dla poetów i miłośników poezji!

Przypuszczam, że sprawa nie jest beznadziejna. Dwa lub trzy tysiące prenumeratorów znajdą się na pewno a przy dobrej propagandzie, której nie odmówi pióra żaden z pisarzy polskich, być może, że będzie ich i więcej. Można by zacząć od wydawania tomików poezji co kwartał, dając na początek cztery tomiki w roku. Członkowstwo takiego Klubu będzie pewnego rodzaju zaszczytem, legitymacją dojrzałości kulturalnej, mieć będzie posmak mecenatu. Poezje przestaną latami zalegać półki księgarń a tom wierszy przywrócony zostanie do honorów, jakie dali mu niegdyś niektórzy nasi wydawcy.

To może poprawić los i pozycję naszej poezji i poetów.

A gdybyś, drogi „Czytelniku", nie wiedział, gdzie i przy czym realizację tego pomysłu uplasować, myślę, że mógłby to być nawet Klub Poetycki „Odry".

Kończąc z góry Cię przepraszam, gdyby prośba ta miała Cię wprowadzić w jakieś zakłopotanie. *Zdzisław Hierowski.*

Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. Tel. 31059

R 13054